# Jak zdobyto Monte Freddo?

STR. 8

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

# kamena

NR 13 (859) 29 czerwca 1986 Cena 15 zł

## Czarne dziury Starego Miasta

STR. 4-5

Repr. Andrzej Polakowski

## Anna Seniuk: Odeszłam od czterdziestolatka

STR. 10

Fot. Cezary Krupa

## Łęczna - sukces czy porażka?

STR. 4-5

## 58-letni młody pracownik naukowy

STR. 3

## X ZJAZD PZPR

23 bm. zmarł w Warszawie w wieku 75 lat

**Jerzy Putrament**

wybitny pisarz, działacz polityczny; w latach 30-tych współpracownik „Kameny".

Cześć Jego pamięci.

Zespół „Kameny"

# KRONIKA KULTURALNA

✦ Wśród zespołowych laureatów tegorocznych nagród „Trybuny Ludu" znaleźli się: Klub Międzynarodowej Książki i Prasy w Puławach (za pracę wychowawczą wśród młodzieży, inicjatywę, aktywność i pomysłowość w upowszechnianiu kultury, współtworzenie frontu pracy ideologicznej i politycznej), Klub „Azyl" w Lublinie (za ofiarną walkę z patologią społeczną — alkoholizmem wśród osób uzależnionych) oraz prof. dr hab. Władysław Zalewski, prof. dr hab. Julian Gajda i doc. dr hab. Zygmunt Litwińczuk z AR w Lublinie (za wdrażanie systemu wykorzystania użytków zielonych do opasu bydła mięsnego). Gratulujemy!

◆ Od 14 do 17 czerwca Puławy miały swoje święto teatralne. Po raz dziewiętnasty już odbywały się Puławskie Spotkania Lalkarzy. W tym roku impreza zgromadziła 15 zespołów z całego kraju i licznych instruktorów amatorskiego ruchu teatru lalkowego, a także gości z Lipska i Pragi. W ramach spotkań odbywały się prezentacje przedstawień, dyskusje, seminaria oraz konsultacje prowadzone przez najlepszych fachowców lalkarstwa w kraju. Urządzono również przy tej okazji dwie ciekawe wystawy: ekspozycję ilustracji książek dla dzieci i ekspozycję poświęconą lalkom.

◆ W Lublinie gościła Magdalena Abakanowicz, artystka, która swego czasu spowodowała rewolucję w dziedzinie tkaniny artystycznej. W galerii sztuki Sceny Plastycznej KUL czynna jest wystawa prac artystki, na którą składają się m.in. cztery kameralne twarze z cyklu „Portrety anonimowe" oraz ekspresyjne szkice węglem z cyklu „Korpusy".

◆ W ciągu trzech niedziel (majowych i czerwcowych) w plenerach lubelskiego skansenu odbywały się eliminacje zespołów i solistów ludowych ubiegających się o możliwość reprezentowania województwa lubelskiego w XX Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu. Komisja zadecydowała, że w występach konkursowych wezmą udział trzy zespoły śpiewacze z Rechty, Mełgwi i Krasewa oraz Kapela Wojciechowska.

◆ Trwa Zamojskie Lato Teatralne. W tym roku impreza odbywa się w terminie od 14 czerwca do 7 lipca. Tradycyjnie już po raz jedenasty miejscem przedstawień teatralnych jest WDK oraz renesansowa architektura miasta: Rynek Wielki, Kazamaty, Podwórko Starego Miasta.

Gośćmi tegorocznego Lata Teatralnego są m.in.: Teatr Polski z Warszawy z „Żywotem Józefa" w reż. K. Dejmka i „Letnim dniem" Mrożka, Teatr Polski ze Szczecina z „Uciechami staropolskimi", Teatr Powszechny i Nowy z Łodzi i tradycyjnie już po raz kolejny goszczący na ZLT Teatr „Stu" z Krakowa.

◆ 14 czerwca odbyło się na Zamku Królewskim w Warszawie posiedzenie Prezydium Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Lublina. Obrady toczyły się w „Galerii Królów" pod kierunkiem przewodniczącego Komitetu prof. Bogdana Suchodolskiego.

◆ 17 czerwca 55 rocznicę urodzin obchodził znany aktor, reżyser, do niedawna dyrektor Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, Ignacy Gogolewski. Jak donosi PAP, z tej okazji artysta otrzymał okolicznościowy list gratulacyjny wystosowany przez Zbigniewa Messnera. Życzenia przekazał również minister kultury i sztuki Kazimierz Zygulski.

◆ W Teatrze im. J. Osterwy odbyła się 8 czerwca premiera sztuki Michaiła Bułhakowa „Molier" („Zmowa Świętoszków") w reżyserii młodego aktora Bogusława Lindy. W wywiadzie dla „Sztandaru Ludu" reżyser powiada: „...teatr powinien być przede wszystkim pasjonujący wizyjnie."

◆ I jeszcze jedna informacja z dziedziny „przyteatralnej". Kafejka „Teatralna" zadebiutowały w roli mini-galerii sztuki. Można tam oglądać malarstwo lubelskiego artysty Tadeusza Kuduka, związanego mocno z teatrem poprzez swój drugi zawód — aktorstwo.

◆ Wydawany w RFN po polsku miesięcznik „Profil" ciepło pisze o tournée poniatowskiego zespołu „Scholares minores pro musica antiqua", który w lutym br. wystąpił w Bremie, Hamburgu, Hanowerze i Getyndze: „...Scholares minores urzekali wszędzie słuchaczy swoimi śpiewaczymi i tanecznymi umiejętnościami, dobrym opanowaniem (...) instrumentów."

(jiw)

# Delegatom na X Zjazd PZPR

**Życząc pomyślnych obrad delegatom lubelskiej organizacji partyjnej na X Zjazd PZPR, pragniemy jeszcze raz powrócić do Wojewódzkiej Konferencji Przedzjazdowej PZPR w Lublinie. Ze stenogramu wybraliśmy głosy pięciu delegatów na Konferencję, którzy później, w wyniku tajnych wyborów, stali się delegatami na X Zjazd. Głosów tych (ze względu na ich rozmiar) nie podajemy w całości, niemniej staramy się wyciągnąć z nich najistotniejsze treści. Wypowiedzi nie autoryzowaliśmy, oparliśmy się, co jeszcze raz podkreślamy, o stenogram.**

## O rozmowach indywidualnych

**ANDRZEJ STAWIARSKI, ustawiacz maszyn w Zakładach Elektromaszynowych EDA w Poniatowej:** — Ważnym elementem dla poprawy stylu i metod pracy partyjnej są wyniki przeprowadzonych powszechnych rozmów indywidualnych z kandydatami i członkami partii. Towarzysze zwracali uwagę na postępującą stabilizację i pokonywanie zjawisk kryzysowych, ale jednocześnie podkreślali, że skutki kryzysu głównie ponosi klasa robotnicza sektora państwowego. Nasi rozmówcy wyrażali niezadowolenie z faktu nadmiernego bogacenia się części społeczeństwa bynajmniej nie pracą rzetelną. Twierdzili wprost, że jest w kraju tyle rodzajów i systemów kontroli, a zjawisko to przyjmuje cechy rozwojowe.

W sprawach wewnątrzpartyjnych towarzysze zwracali uwagę na zbyt wiele uchwał podejmowanych przez Komitet Centralny i niższe instancje oraz na niepełną realizację tych uchwał w codziennej praktyce.

Krytycznej analizie rozmówcy poddawali projekt Programu PZPR, uważając, że jest on zbyt obszerny i przez to mało komunikatywny. Takie sformułowania, jak „partia będzie się starać", „partia uważa", „partia opowiada się" są zbyt ogólne, nie wpływają na mobilizację partii i społeczeństwa. Ale jednocześnie towarzysze wskazywali, że Program jest ambitny, zakłada szybkie wejście w elektronizację, komputeryzację, robotyzację i wysoki stopień automatyzacji. Realizacja takiego Programu będzie wymagała przebudowy całego przemysłu, a na takie przedsięwzięcie obecnie nas jeszcze nie stać. Program trzeba więc będzie realizować stopniowo.

Kiedy projekt Programu skonkretyzuje się już w Program przyjęty przez X Zjazd, powinien on stać się Programem każdego członka partii, każdego Polaka!

## O młodych lotnikach

**Płk MIROSŁAW HERMASZEWSKI, pilot-kosmonauta, zastępca komendanta Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie:** — Po blisko 25 latach służby w Ludowym Lotnictwie Polskim obywatelski i żołnierski obowiązek zawiódł mnie powtórnie w mury przesławnej Szkoły Orląt, której osobiście tak wiele mam do zawdzięczenia. Żołnierska droga życiowa nie należy do łatwych, wymaga dużej siły woli, samozaparcia, całkowitego oddania sprawie, czasem graniczy wręcz z poświęceniem. Wychowankowie Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej nie wahają się przyjąć na siebie ten trudny obowiązek, dowiedli tego niejednokrotnie w swej już 60-letniej tradycji.

Kim są ci młodzi ludzie, którzy przekraczają bramę Dęblińskiej Uczelni? Większość z nich to synowie robotników i chłopów, ambitni, chłonni wiedzy, których przywiodła młodość i chęć przeżycia najwspanialszej lotniczej przygody. I w hymnie Szkoły śpiewają o sobie tak: „Najmłodsze to ręce chwyciły za stery, to ludu synowie, młodzieży to kwiat. Zuchwali i prości żołnierze tej ery, co nowy stworzyła dziś świat". A więc prości żołnierze. I w zwrotce tej jak wiele zawiera się treści! Żołnierz ery, co nowy stworzyła dziś świat... Jak oni rozumieją tę erę, skąd posiedli i kiedy — oni prości — zdobyli tę wiedzę? Ludowa Ojczyzna stworzyła całej młodzieży warunki do nauki. Za 40 lat powojennego funkcjonowania Uczelni doczekaliśmy się wysoko wykwalifikowanej i oddanej kadry naukowo-dydaktycznej. Naszym celem jest kształcenie cech nie tylko wzorowego żołnierza i pilota, ale i obywatela, patrioty i internacjonalisty.

Nie roztaczamy przed młodzieżą utopijnych wizji, a mówimy jej zawsze prawdę o życiu, prawdę o otaczającym nas świecie.

Kandydatów do Wyższej Oficerskiej Szkoły Lotniczej i do Liceum Lotniczego mamy bardzo licznych, lecz bardzo wielu z nich reprezentuje sobą niepokojący stan zdrowia, który rodzi określone refleksje i bardzo głęboką troskę. Zaledwie co dziesiąty kandydat odpowiada nie wygórowanym przecież tak bardzo warunkom zdrowotnym. Niedocenianie wartości sportu w społeczeństwie, sportu dla zdrowia nie jest tylko i wyłącznie młodzieży winą. Dla przyszłości potrzebna jest młodzież ideowa, zdrowa fizycznie i zdrowa moralnie. Uważam, że i tym problemem musi się zająć tak bardzo przez nas oczekiwany X Zjazd naszej partii.

## O lubelskiej organizacji partyjnej

**GUSTAW RĘBACZ, I sekretarz KM PZPR w Lublinie:** — Ponad 20-tysięczna lubelska organizacja partyjna okrzepła organizacyjnie, rozwijając demokrację wewnątrzpartyjną, umacniając dyscyplinę i skuteczność działania. Przykładem tego był odbyty 17 maja Czyn Partyjny. Poza niewątpliwymi osiągnięciami jesteśmy świadomi występujących jeszcze wielorakich trudności i słabości w postawach członków partii, w bierności wielu jeszcze ogniw — szczególnie w środowisku mało licznych podstawowych organizacji partyjnych, w niedostatecznej więzi z bezpartyjnymi.

Niemniej poprawiła się systematyczność odbywanych zebrań partyjnych, nastąpił dalszy postęp w zakresie porządkowania spraw wewnątrzorganizacyjnych. Wyraźnemu zahamowaniu uległ proces odchodzenia z partii przy jednoczesnym wzroście liczby nowo przyjmowanych kandydatów. Przypomnę, że w roku 1984 pozyskaliśmy 256, a w roku 1985 — 428, zaś w ciągu niecałych pięciu miesięcy bieżącego roku — 180 towarzyszy. Trzeba jednak stwierdzić, że nadal niezadowalający jest skład socjalny zarówno w całej miejskiej organizacji, jak też wśród nowo przyjmowanych kandydatów. Widzimy dalszą konieczność pozyskiwania do partii ludzi młodych, tym bardziej że 67 proc. stanu miejskiej organizacji partyjnej stanowią członkowie powyżej 40 roku życia.

Pomimo wielu wysiłków wdrażanie reformy w lubelskich zakładach pracy jest jeszcze niewystarczające. Wiele do życzenia pozostawia jakość produkcji, efektywne gospodarowanie czynnikiem ludzkim, właściwe wykorzystanie sprzętu, surowców i materiałów. Na przełamanie istniejących barier i trudności ekonomicznych ukierunkowana jest obecnie praca partyjna w sferze gospodarczej. Uwidoczniło się to w podsumowaniu kampanii przedzjazdowej w naszym mieście.

Budownictwo mieszkaniowe, gospodarka komunalna, handel i usługi — te problemy przewijały się podczas dyskusji nad projektem Programu partii i w czasie rozmów indywidualnych praktycznie we wszystkich środowiskach. Chcę nadmienić, że do szczególnego potraktowania tych sfer życia gospodarczego zobowiązani zostaliśmy uchwałami XX Miejskiej Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej.

Dużego znaczenia nabiera działalność lubelskiej organizacji partyjnej wśród młodych mieszkańców naszego miasta. Naszym zdaniem zbyt wolno przynosi ona wymierne efekty. Niemniej dostrzegamy wiele pozytywnych momentów, mam tu na myśli dyskusję nad projektem Programu partii w środowisku młodzieży akademickiej i młodzieży pracującej, w której to dyskusji wiele cennych wniosków sprecyzowano pod adresem władz politycznych i administracyjnych.

## O naszym węglu

**ZDZISŁAW GOLA, naczelny dyrektor Lubelsko-Chełmskiego Gwarectwa Węglowego:** — W trakcie prac nad projektem planu społeczno-gospodarczego na lata 1986—1990 były różne spojrzenia na LZW, nie brakowało i takich, które podpowiadały konieczność zatrzymania budowy jako ekonomicznie nieefektywnej inwestycji. Rada Ministrów wstrzymała się z zatwierdzeniem zweryfikowanych wartości kosztorysowych budowy kopalni pierwszej w Bogdance i kopalni drugiej w Stefanowie do czasu przedstawienia zaktualizowanej koncepcji zagospodarowania LZW z uwzględnieniem rachunku ekonomicznej efektywności tego zamierzenia. Opracowanie takie zostało zrobione i zaopiniowane przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów, Narodowy Bank Polski, Państwową Radę Górnictwa, Polską Akademię Nauk, Naczelną Organizację Techniczną. Z dokumentów tym m.in. wynika:

✲ Występujące bariery ekologiczne, techniczne, komunikacyjne i demograficzne ograniczają możliwość budowy i rozbudowy kopalń w Górnośląskim Zagłębiu Węglowym.

✲ LZW jest perspektywicznym źródłem pozyskania węgla kamiennego w Polsce. Posiada 52 procent perspektywicznych krajowych zasobów węgla kamiennego.

✲ Koszty pozyskania węgla w LZW na obecnym etapie są wyższe niż koszty pozyskania węgla energetycznego na Śląsku, bowiem specyficzne warunki hydrologiczne i geomechaniczne, dotychczas nie spotykane w innych zagłębiach, uniemożliwiły powielanie uznanych rozwiązań technicznych i wyznaczyły dla obu kopalń charakter badawczo-doświadczalny z zadaniem poznania warunków złożowych i eksploatacyjnych oraz wypracowania właściwej technologii i metod dla budowy następnych kopalń.

✲ Roczne oszczędności z tytułu samego przewozu węgla wyniosą ponad dwa miliardy złotych.

✲ Biorąc pod uwagę zaawansowanie budowy kopalni pierwszej w Bogdance i drugiej — w Stefanowie oraz brak możliwości zastąpienia wydobycia węgla z LZW, ujętego w napiętym bilansie paliwowo-energetycznym kraju, uzyskaniem węgla z innych kopalń — budową kopalń w Bogdance i Stefanowie powinna być dokończona.

Dużego wsparcia w rzeczowej argumentacji zasadności budowy obu kopalń udzieliły nam komitety partyjne i urzędy wojewódzkie w Lublinie i w Chełmie oraz zespoły poselskie tych województw.

Obecnie rozesłano do konsultacji projekt Uchwały Rady Ministrów w sprawie zatwierdzenia wniosków weryfikacji zakresów rzeczowych, terminów realizacji, kosztów i źródeł finansowania inwestycji centralnych w LZW. Podjęcie tej Uchwały pozwoli na zerwanie z tymczasowością, uczyni spójne wielkości nakładów z wielkościami wydobycia węgla ujmowanego w bilansie, zabezpieczy uzgodnione udziały finansowe dla realizacji infrastruktury technicznej i społecznej terenowego planu Urzędu Wojewódzkiego.

W 21 tezie Komitetu Centralnego PZPR na X Zjazd czytamy m.in.: „Podstawą zaspokojenia potrzeb paliwowych gospodarki będzie w najbliższym pięcioleciu w dalszym ciągu węgiel kamienny. Trzeba zapewnić — warunki techniczne, ekonomiczne i kadrowe dla utrzymania wydobycia w najbliższym pięcioleciu na dotychczasowym poziomie; intensywne, kompleksowe działanie na rzecz racjonalizacji jego zużycia".

Teza ta była najczęstszym tematem dyskusji prawie na wszystkich naszych zebraniach podstawowych organizacji partyjnych, jak i na Przedzjazdowej Konferencji Komitetu Zakładowego.

Towarzysze ze środowiska górniczego wyrażali obawy:

— czy utrzymanie wydobycia węgla na dotychczasowym poziomie nie będzie blokadą rozwoju gospodarki narodowej w końcu lat osiemdziesiątych?

# pomyślnych obrad!

— czy założenia oszczędności i racjonalizacji zużycia paliw i energii są na tyle realne, aby na nich budować rozwój gospodarki?

— czy zapewnienie tylko warunków technicznych, ekonomicznych, kadrowych zabezpieczy wydobycie węgla na dotychczasowym poziomie?

Zdaniem większości naszych towarzyszy konieczne jest zwiększenie nakładów na inwestycje w górnictwie, w tym pełne zabezpieczenie nakładów na ukończenie budowy kopalni w Bogdance i na kontynuację budowy kopalni drugiej w Stefanowie. W utrzymaniu wydobycia węgla na dotychczasowym poziomie, to jest 192 miliony ton, w pokryciu zmniejszających się zdolności wydobywczych innych kopalń — dla LZW przyjęto w bilansie bez pokrycia w planie inwestycyjnym, że:

✡ Budowa kopalni pierwszej w Bogdance ma być ukończona do końca 1990 roku. Obecne wydobycie węgla — 1000 ton na dobę, zostanie w połowie br. zwiększone do 2500 ton, a po oddaniu pod koniec 1988 r. głównego szybu wydobywczego kopalnia zwiększy wielkość wydobycia w 1989 r. do 5000 ton na dobę, a w 1990 r. — 7000 ton, by w 1991 r. osiągnąć docelową zdolność wydobywczą 8000 ton na dobę węgla płukanego, to jest 2,4 miliona ton na rok.

✡ Budowa kopalni drugiej w Stefanowie powinna być zakończona do końca 1995 r. przy rozpoczęciu wydobycia w 1991 r. i uzyskaniu docelowej zdolności wydobywczej 10 000 ton na dobę, to jest 3 miliony ton na rok w 1995 r.

2,4 miliona ton w 1991 r. z kopalni pierwszej w Bogdance odpowiada obecnemu rocznemu zapotrzebowaniu na węgiel województwa lubelskiego, zaś ponad 5 milionów ton w roku 1994 z obu kopalń w Bogdance i Stefanowie odpowiada obecnemu rocznemu zapotrzebowaniu na węgiel całego makroregionu środkowo-wschodniego.

## O oczekiwaniach przed zjazdowych

**WALDEMAR ŚWIRGOŃ, sekretarz KC PZPR:** — X Zjazd PZPR będzie w myśl naszego statutu zjazdem zwyczajnym. Jest to uzasadnione ogromnym postępem, jaki dokonał się w odbudowie stabilizacji wewnętrznej, procesów porozumienia narodowego, w równoważeniu gospodarki i rynku oraz wreszcie w odbudowie pozycji i miejsca Polski we wspólnocie krajów socjalistycznych i prawie, czy bez mała, w całej Europie i świecie. Ale równocześnie Zjazd ten może, a raczej musi, być zjazdem nadzwyczajnym z treści i formy podjętych uchwał. Nadzwyczajnym — w sensie spełnienia społecznych oczekiwań.

Wśród tych oczekiwań jest to, które dotyczy utrwalenia zjawisk odnowy socjalistycznej i stworzenia niezawodnych gwarancji przeciwko nawrotowi zjawisk kryzysowych. X Zjazd powinien być zjazdem pogłębiającym linię odnowy, porozumienia, socjalistycznych reform i walki.

Należy ugruntować leninowskie normy życia wewnątrzpartyjnego i zaufanie ludzi pracy do Programu partii.

Należy zachować i potwierdzić samodzielność programową i organizacyjną masowych organizacji ludzi pracy, w tym przede wszystkim związków zawodowych, samorządów pracowniczych, organizacji młodzieżowych. I przyznać tym przedstawicielstwom i organizacjom partnerską rolę w systemie politycznym socjalizmu, a zarazem funkcję wczesnego ostrzegania, gdyby w nadbudowie, bądź w bazie, pojawiły się tendencje zagrażające linii wypracowanej na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR.

Barierą dla nawrotu subiektywizmu w polityce i woluntaryzmu w gospodarce są gwarancje prawno-instytucjonalne, które na przestrzeni realizacji uchwał IX Zjazdu stały się w znacznej mierze faktem, że wymienię tylko nowe rozstrzygnięcia dotyczące statusu prawnego organów przedstawicielskich władzy państwowej, rad narodowych, samorządów pracowniczych i terytorialnych, jak również decyzje o ustanowieniu Trybunału Konstytucyjnego i Sądu, podjęcie innych istotnych, politycznych i prawnych decyzji tworzących nowe instytucje naszego życia społeczno-politycznego i państwowego.

Kolejnym elementem wskazującym na nadzwyczajność oczekiwań związanych z X Zjazdem jest konieczność i potrzeba wdrożenia realizacji reformy gospodarczej, mimo iż znajdujemy się w okolicznościach skrajnie nie sprzyjających reformowaniu gospodarki. Kraje socjalistyczne, które taką reformę wdrażają, bądź wdrożyły, robiły to w korzystniejszych warunkach. Lekarze mogliby powiedzieć, że nasza reforma jest reformą niedotlenioną.

Musimy konsekwentnie realizować zasadę podziału według pracy, pokonując — występującą również w niektórych organizacjach partyjnych, w niektórych środowiskach — demagogię socjalną i fałszywą interpretację sprawiedliwości społecznej w socjalizmie. Przeciwnik polityczny w odniesieniu do gospodarki i realizacji reformy przyjmuje hasła utopijnego socjalizmu. Szermuje argumentami, że wszyscy mamy takie same żołądki, zachęca do żądania podwyżek płac i świadczeń społecznych bez względu na wyniki w zakresie produkcji.

Musimy też wprowadzić — już nie jako postulat — praktykę postępu technicznego, technologicznego i organizacyjnego oraz szersze włączenie się osiągnięć nauki do procesów produkcyjnych i w ogóle do kierowania życiem społecznym i państwowym. Musimy również dokonać trudnego, skomplikowanego, a czasami bolesnego i konfliktującego, procesu restrukturyzacji. We współczesnym świecie, w tym również w niektórych krajach socjalistycznych, osiąga się wzrost produkcji przemysłowej przy spadku zapotrzebowania na energię. Jednym z głównych postulatów zgłaszanych np. na Wojewódzkiej Konferencji Przedzjazdowej w Chełmie było żądanie dziesięciu miliardów złotych na rekonstrukcję techniczną i technologiczną chełmsko-rejowieckiego kombinatu cementowego, polegającą na przejściu z technologii produkcji tzw. „mokrej" na tzw. „suchą". Dawałoby to w perspektywie kilkunastu miesięcy zmniejszenie zużycia węgla kamiennego o trzysta tysięcy ton, przy radykalnym zmniejszeniu zanieczyszczeń środowiska, a więc zmniejszeniu koniecznych nakładów na zachowanie środowiska ekologicznego czystego. Musimy dokonywać trudnych wyborów. Między tym, co pożyteczne, i tym, co pożyteczne jeszcze bardziej.

Ważnym problemem jest konieczność równoważenia gospodarki rynku, a równocześnie uznania inflacji jako jednego z głównych zagrożeń harmonijnego rozwoju społecznego i gospodarczego. W gruncie rzeczy każda ekonomika państw, znajdujących się na niskim, bądź średnim poziomie rozwoju, stoi przed wyborem: czego ma brakować bardziej — towarów czy pieniędzy? Nie można bowiem osiągnąć sytuacji, w której — w warunkach niezaspokojonych potrzeb, a takie warunki jeszcze w Polsce istnieją — nie brakuje towarów i nie brakuje pieniędzy. Sytuacja, w której brakowało towarów, a (względnie) nie brakowało pieniędzy, była u nas dwa, trzy lata temu: sytuacja wolnych środków nabywczych, pustych sklepów, potężnego czarnego rynku. Dziś zaczyna się zarysowywać sytuacja względnego dostatku towarów i brakujących pieniędzy.

Jesteśmy chyba w jednym z najbardziej niebezpiecznych okresów powojennej historii świata. Polsce wyznaczono w tej konfrontacji między Wschodem a Zachodem dość szczególną rolę. Chodzi o to, ażeby w partii i za sprawą partii w coraz szerszych kręgach społeczeństwa uświadamiać naszą wspólną odpowiedzialność za interesy narodowe i państwowe Polski, ale również i rolę Polski w utrwalaniu pokoju, stabilizacji stosunków międzynarodowych, w zapobieganiu tendencjom konfrontacyjnym. Niepokoje w Polsce to jedna z bardzo wygodnych, jak pokazują ostatnie wydarzenia, dróg do destabilizacji sytuacji międzynarodowej, to jeden z ważnych argumentów, jakim posługuje się rząd Stanów Zjednoczonych i niektóre kręgi kierownicze Europy Zachodniej w rozgrywce z pozycji siły ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi.

## Nad Tezami KC PZPR na X Zjazd partii

# 58-letni młody pracownik naukowy

**Urszula Kołakowska**

W TEZACH KC PZPR na X Zjazd partii znalazł się następujący zapis: „Obecna sytuacja kadrowa w szkolnictwie wyższym wymaga, zgodnie z uchwałą XXIV Plenum KC, preferowania i przyspieszenia rozwoju młodych, uzdolnionych, zaangażowanych nauczycieli akademickich". Zapis ten z pewnością został przyjęty przez wielu pracowników naukowych z aplauzem, ponieważ obecnie młodym nauczycielem akademickim można być, zarówno mając 25, jak i 58 lat, taka bowiem jest rozpiętość wieku tzw. młodych pracowników naukowych. Mianem tym określa się nauczycieli akademickich zatrudnionych na stanowisku asystenta i adiunkta (czyli magistrów i doktorów). Aby przestać być młodym pracownikiem, nie wystarczy ukończyć 35 czy 40 lat, lecz trzeba uzyskać tytuł doktora habilitowanego. Według ustawy o szkolnictwie wyższym, magister zobowiązany jest w ciągu ośmiu lat napisać dysertację doktorską, a doktor w ciągu dziewięciu — habilitacyjną. Czyli przyszły adept nauki, podejmujący pracę na uczelni bezpośrednio po ukończeniu studiów, po 17 latach (a więc w wieku 40—42 lat) powinien uzyskać stopień naukowy doktora habilitowanego.

Skąd zatem biorą się „młodzi" pięćdziesięciolatkowie? Spróbuję odpowiedzieć, opierając się na własnych obserwacjach i refleksjach.

Gdy „młody" pracownik naukowo-dydaktyczny w wieku 40—50 lat zapada na nieuleczalną chorobę — na „niemoc intelektualną" — grozi mu przedwczesne odejście z uczelni, ponieważ ustawa z 25 lipca 1985 r. przewiduje, że w przypadku, gdy młody pracownik naukowy „z przyczyn od niego zależnych nie czyni dostatecznych postępów w swoim rozwoju naukowym [...], stosunek pracy nie może być z nim odnowiony". Mówiąc jaśniej, jeżeli doktor w ciągu dziewięciu lat nie napisze rozprawy habilitacyjnej (a magister w ciągu ośmiu — doktorskiej), będzie zmuszony odejść z uczelni.

Dziwi sformułowanie „z przyczyn od niego zależnych". Moim skromnym zdaniem, nie powinno być takich przyczyn. Wiadomo przecież, że do pracy w szkole wyższej powinny trafić jednostki wykazujące wybitne, a przynajmniej nieprzeciętne uzdolnienia i predyspozycje do pracy naukowej (także dydaktycznej). Wiążą się z nimi umiejętności do samodzielnego wysiłku badawczego, zdolności do samokrytycznej refleksji, a także zamiłowania badawcze. I chciałabym wierzyć, iż takie właśnie cechy reprezentują wszyscy młodzi pracownicy naukowi. Skoro tak, to nie może być zastoju w ich rozwoju naukowym. A jednak coraz częstsze są przypadki, że po dziesięciu latach asystent, niestety, nie napisał pracy doktorskiej. Uważam więc za słuszne rozważenie sprawy tej w nieco szerszym aspekcie, i szukanie przyczyn także niezależnych od młodego pracownika. Przecież każdy doktorant ma opiekuna naukowego w osobie docenta czy profesora, który notabene z chwilą zatrudnienia go na stanowisku docenta ślubował między innymi: „W pełni świadom swoich obowiązków ślubuję uroczyście: — kształcić i wychowywać młodą kadrę naukową, zdolną do zapewnienia rozwoju nauki", czyli zadeklarował gotowość opieki nad pracami naukowymi swoich młodszych kolegów. Czy więc nie powinien również ponieść odpowiedzialności za to, iż jego uczeń nie wywiązał się w odpowiednim czasie z nałożonego na niego obowiązku? Bo jeżeli z jednej strony jest najlepszy z najlepszych — uczeń (asystent), a z drugiej wybitny nauczyciel — naukowiec, specjalista danej dziedziny o dużym dorobku naukowym, który cały czas czuwa i kieruje asystentem, to dlaczego ten pierwszy nie czyni postępów w rozwoju naukowym?

Przyczyny mogą być dwie. Pierwszą upatruję w ewentualnych niedostatecznych kwalifikacjach i predyspozycjach do pracy badawczej asystenta. Jeżeli tak, to nasuwa się prosty wniosek — należy zweryfikować system doboru kadr do szkół wyższych. Proponuję na przykład dokonywanie selekcji wśród kandydatów nie na zasadzie konkursu, ale na podstawie egzaminu kwalifikacyjnego, który z pewnością zwiększyłby możliwości wyrokowania w sprawie przydatności do pracy naukowo-dydaktycznej przyszłego nauczyciela akademickiego. Natomiast w przypadku przeciwnym, tzn. gdy młody pracownik posiada wszystkie cechy, jakich oczekuje się od pracownika naukowego, wówczas, być może, brakuje jego opiekunowi poczucia odpowiedzialności za los ucznia? A może nauczyciel jest mało ambitny i w związku z tym nie wykazuje aktywności w zakresie kształcenia kadr naukowych? Ja znam wyłącznie profesorów i docentów zaangażowanych, ambitnych, nie znaczy to, że nie istnieją i inni.

Idąc dalej tym torem myślenia, wypadałoby się zastanowić, dlaczego niejeden młody pracownik naukowy po napisaniu rozprawy doktorskiej nie wykonał w przewidzianym ustawowo terminie dysertacji habilitacyjnej? Napisana bowiem praca doktorska jest przecież w dużej mierze efektem kilkuletnich samodzielnych, często żmudnych i pracochłonnych poszukiwań źródłowych, przeprowadzonych na rozległych, nieraz mało poznanych, obszarach interesującej go dziedziny wiedzy, i podejmuje istotną problematykę badawczą. Ponadto okres badań poświęconych przygotowaniu doktoratu pozwolił autorowi na uzyskanie dobrej orientacji w skomplikowanych i trudnych problemach danej specjalności, a także na zapoznanie się z zagadnieniami metodologii badań naukowych, dzięki której opanował umiejętność stosowania metod badawczych w zakresie uprawianej dyscypliny. Nie powinien więc mieć trudności w napisaniu rozprawy habilitacyjnej. Ale on niejednokrotnie napotyka trudną do pokonania barierę, jaką są publikacje. Zanim bowiem przedłoży rozprawę habilitacyjną, musi „zaliczyć" pewną liczbę publikacji. I dla niego problemem nie jest napisanie ich, lecz wydrukowanie!

Teoretycznie ma dwie możliwości. Na ogół w każdej szkole wyższej istnieje wydawnictwo, gdzie może oddać artykuł, który w ciągu trzech—czterech lat ukaże się drukiem. Bywa, że w okresie dziewięciu lat uda mu się opublikować tam dwie, może trzy prace (są szczęśliwcy, którym uda się opublikować więcej). Druga możliwość, jaka mu pozostaje, to „wysłać artykuł w Polskę". Wówczas najczęściej otrzymuje jego zwrot z grzecznym dopiskiem: „Uprzejmie zawiadamiamy, że nie możemy przyjąć do druku zaproponowanego przez Pana (Panią) artykułu, ponieważ na łamach naszego pisma publikowane są artykuły jedynie pracowników naszej uczelni" albo: „Artykuł nie odpowiada profilowi naszego pisma". A czas jest nieubłagany i lata mijają!

Myślę, iż należałoby przyjść z jakąś konstruktywną pomocą adiunktom, będącym właśnie na etapie „zaliczania" publikacji. Można by np. w wydawnictwie uniwersyteckim drukować oddzielny tom z publikacjami wyłącznie młodych pracowników naukowych.

Wydaje mi się, że wysunięte przeze mnie propozycje, dotyczące tylko niektórych problemów młodej kadry naukowej, z pewnością mogłyby chociaż w części przyczynić się do wyeliminowania z jej grona pięćdziesięciolatków. Jednak niezależnie od tego, czy ktoś zechce je rozważyć, czy nie, mogę z ulgą powiedzieć: dixi (et salvavi animam meam), a więc — powiedziałam, ostrzegłam i uspokoiłam swoje sumienie.

# Łęczna - sukces czy porażka?

**Bolesław Stelmach**

NIEWIELE jest w historii powojennej Polski tak spektakularnych awansów małych miast czy wsi, jak zmiana losu Łęcznej, pokrewnego przypadkom Nowej Huty, Jastrzębia albo miast Lubińsko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego — tych charakterystycznych zjawisk socjalistycznej industrializacji. Powstały one na fali gwałtownych przemian osadniczych, zbyt szybkich przekształceń, mających na celu lokalizację wielkich obiektów przemysłowych lub eksploatację zasobów mineralnych. Większość z nich charakteryzuje żywiołowość przemian, nie pozostająca w żadnej prawie relacji do zamierzeń planistycznych.

**Wydawać by się mogło, że Łęczna może uniknąć ich losu — przecież decyzja o wydobyciu „wielkiego lubelskiego węgla" zapadła dopiero w 1973 roku, gdy już można było mówić o doświadczeniach powyższych przedsięwzięć. Pod tym względem Łęczna posiadała szansę i pora już chyba ocenić, jak ją wykorzystano.**

Łęczna miała powstać jako element LZW, zaplanowana, przemyślana, przestudiowana do najdrobniejszego — mogłoby się wydawać — szczegółu. Jest przedsięwzięciem urbanistycznym unikalnym, gdy idzie o skalę zamierzeń i uwarunkowań, z bogatym zapleczem doświadczeń i porażek industrializacji, o których wspomniałem. Problem to szczególnie istotny dla regionu, gdzie Lubelskie Zagłębie Węglowe ma już wymiar symboliczny w obszarze oczekiwań społecznych. Zarobki, zaopatrzenie, jakość życia, kojarzone z Łęczną, dają dodatkowy impuls do porównania zamierzeń i rzeczywistości.

Aby lepiej widzieć dzień dzisiejszy, sięgnijmy jednak wpierw do historii miasta, bowiem nie wszyscy chcą pamiętać, że nie powstało ono wraz z odkryciem pokładów węgla i rozpoczęciem ich eksploatacji w końcu lat 70-tych.

Obecnie Łęczna przeżywa trzeci (chciałoby się powiedzieć: do trzech razy sztuka) okres rozwoju od czasu powstania. Dwa pierwsze związane były z położeniem miejscowości na szlaku handlowym wschód — zachód i dziejowymi okolicznościami.

W XV wieku (przywilej lokacyjny — 1467 r.) Łęczna była prężnym ośrodkiem handlu rozwijającego się dzięki kontaktom Korony i Księstwa Litewskiego. Wtedy to z peryferyjnych pustkowi łupionych przez wschodnich wojowników powstało województwo możnych tego świata — Gorajskich czy Firlejów, a w nim kwitła i Łęczna.

Drugi okres prosperity przypadł na XVIII wiek, poprzedzony klęskami wojennymi, od których ucierpiała cała Rzeczpospolita. Otóż ten drugi etap rozwoju miasta tworzyli handlarze bydła — Łęczna była największym w tych stronach ośrodkiem handlu, leżącym na styku Ukrainy (obszarów olbrzymich pastwisk, hodowli) i europejskich rynków zbytu. Podobno właśnie tutaj armia pruska miała zaopatrywać się w konie.

Oba te okresy ukształtowały przestrzeń miasta, z tym że jego renesansowe zabytki uległy zniszczeniu i czas pierwszej prosperity zostawił nieliczne ślady: kościół farny, plebanię, żydowską bożnicę. Poza murowanymi obiektami okres ten jest czytelny w zarysach układu przestrzennego — ulic, rynków.

Obiekty i struktura przestrzenna, którą obecnie kojarzymy z nazwą Łęczna, to efekt drugiego wzlotu — jako miasta handlarzy bydła. Cechuje je parterowa, niska zabudowa z olbrzymimi dachami o charakterystycznym podziale na wozownię i część gościnną. Są to liczne zajazdy. Domy zajezdne, gospody, hotele, wyszynki, od jakich dosłownie roiło się tutaj w XVIII—XIX wieku, tworzyły niepowtarzalny klimat przestrzenny Łęcznej. Dla właściwego funkcjonowania miasta, gdzie rozwijał się tak specyficzny handel, musiał powstać nowy, większy rynek (trzeci już), na którym swobodnie mogła dokonywać się bodaj część transakcji.

Co naprawdę działo się w uliczkach Łęcznej w dni targowe, widać dopiero na rysunkach z epoki — choćby Norblina. Tłok, ścisk, stragany, setki kupców, tysiące gapiów. Ludzie koczujący obok zwierząt wprost na ziemi. Sceny te rozgrywały się w oprawie ciekawej architektury. Ciekawej, bo może nie pięknej czy stylowo wysublimowanej, ale bogatej — jarmacznej, chciałoby się powiedzieć.

Na sztychach tych walczą o prymat różne, czasem, wydałoby się, nie do pogodzenia, formy o jakiejś bajkowej, cudacznej proweniencji. Murowane, okazałe budowle, jak ratusz, piętrzą się nad dziwacznymi karłami o olbrzymich gontowych dachach. A ile tutaj różnorakich form, otworów okiennych, oryginalnych detali i szczegółów, tworzących obraz prawie chaotyczny — bezczelnie bezstylowy, ale jakże piękny! Bogactwo społeczności — to materialne, ale i rozumiane jako różnorodność, oryginalność — tworzyło odpowiadające sobie formy przestrzeni, która odzwierciedlała wielość postaw, potrzeb, wreszcie możliwości.

**Architektura i urbanistyka są zawsze najlepszym obrazem idei ożywiających społeczeństwo. Najlepszym i najwierniejszym, bo wymagającym olbrzymiego świadomego wysiłku zbiorowości, czasem całych pokoleń. Toteż o rzeczywistej jedności ludzi, o wspólnej woli decyduje nie to, co się o tym pisze, czy czego się na ten temat chce, ale ślady, jakie zostają w historii materialnej. Bo człowiek, budując, tworząc swój świat, robi to w oparciu o pewną hierarchię wartości i czy budowniczowie tego chcą, czy nie, czy dbają o to, czy działają nieświadomie, wartości te widać gołym okiem, czasem nawet wbrew budowniczym.**

Na rycinach Norblina odnajdujemy dynamikę rozwoju społeczeństwa Łęcznej, pęd do bogactwa, za którym nie nadąża dobry smak czy wychowanie — świadomość użytych form. Trudno kupców i szynkarzy posądzać o kierowanie się estetyką, a jednak pewne granice nie zostają przekroczone — budowle nie przeczą sobie w generalnych dyspozycjach przestrzennych. Ruch jako cecha wspólna nie powoduje rozmazania podziałów urbanistycznych miasta jako organizmu przestrzennego; nie zniekształca też pejzażu informacyjnego; to, co było wtedy najważniejsze, stało na odpowiednio eksponowanym miejscu miasta, było najbogatsze, najsolidniej wykonane, wreszcie najpiękniejsze.

*Rysunek autora — według Norblina.*

Pejzaż przekazywał informacje — kodował je całym pokoleniom jako nieświadomy „masaż" (albo przekaz, jakby może chciał McLuhan) bodźców wzrokowych. Struktury te były więc logiczną konsekwencją rozwiązań organizacyjnych społeczeństwa, ale też ukształtowały nasze przyzwyczajenia w odbiorze miasta; w możliwościach rozumienia jego przestrzeni, uchwycenia logiki.

Jednak miasto zaczynało się, i nadal zaczyna, od idei miasta jako sposobu zorganizowania społeczności w jakimś miejscu. W poświęconej Łęcznej „Architekturze" (nr 6/85) pojawia się pytanie, dlaczego dawne miasta przyzwyczaiły nas do logiki i celowości, ładu przestrzennego, mimo że, jak wynika z badań historyków, zazwyczaj lokalizacje budynków użyteczności publicznej były przypadkowe? Otóż wydaje się, że przyczyną nie jest, a przynajmniej nie tylko, pascalowski „ład serca" jako przeciwstawienie „ładu rozumu". Sądzę, że pierwiastek intuicji zawsze miał ogromne znaczenie, chociaż teraz zepchnięto go na margines, ale chyba nie on decydował.

Dla mnie przestrzeń miejska jest zawsze przede wszystkim informacyjnym przekazem, a ład przestrzenny, aby nie używać mylącego pojęcia piękna, powstaje tylko jako efekt interpretacji przez społeczność idei miasta. Właśnie w interpretacji widać, do jakiego stopnia jest to własna idea społeczności.

Bez wątpienia bogactwo przekazu, czytelne w obrazach dawnej Łęcznej, świadczy, że ówczesne społeczeństwo umiało wcielić w życie idee epoki wczesnokapitalistycznej czy feudalnej

# Czarne dziury Starego Miasta

**Ireneusz J. Kamiński**

LUBELSKIE Stare Miasto to pamiętnik życia i sztuki, obejmujący kilkaset lat i wielce pogmatwany. Mało tam budowli jednorodnych stylistycznie, rasowych, mogących służyć jako przykład takiej lub innej architektury, przeważają natomiast kamienice, w których bez trudu można wyodrębnić partie gotyckie, renesansowe, barokowe, klasycystyczne i późniejsze. Jest tam nawet motyw z Włodzimierzem Sokorskim.

Starym Miastem władali na ogół ludzie praktyczni: mieszczanie, drobna szlachta, Żydzi; dla nich obecne zabytki były po prostu domami, które należy remontować od czasu do czasu, przebudowywać wedle akuratnych potrzeb lub wystawić na sprzedaż, jeśli kupiec dobry się trafił, a los przycisnął. Kamienica przy Rynku 12, chwaląca się najbardziej wyrafinowaną dekoracją fasady, wielokrotnie zmieniała właścicieli, co znajdowało wyraz w jej nazwach, notowanych od początków XVI wieku: „Sadurczyńska", „Domaratowska alias Sadurczyńska", „Kretkowska", „Konopniczyńska", „Kieremowiczowska", „Sobieskich", wreszcie, po roku 1954, „Żółkiewskich — Sobieskich". Wzniesiona zapewne w XV stuleciu, przekształcana i dekorowana była gdzieś w latach 1597—1614, restaurowana — przed 1774 i około 1800 roku. W pierwszej połowie XIX wieku rozebrano attykę i trzecie piętro kamienicy, by u schyłku II Rzeczypospolitej przystąpić do przywracania tych partii według projektu Czesława Dorii-Dernałowicza, który attykę rekonstruował dość swobodnie. Prace te zakończono w latach pięćdziesiątych, zgodnie z projektem Jana Gontarczyka i pod życzliwym okiem prezydenta Bolesława Bieruta, który oczywiście patronował odnowie całego Starego Miasta (Krakowskiego Przedmieścia i innych rejonów, odnowionych lub odbudowanych na X-lecie Polski Ludowej).

Stare Miasto przypomina więc przekładaniec albo tkaninę wykonaną w technice melanżu — z kilkoma przynajmniej wątkami, inicjowanymi w różnych okresach historii. Jakże przy tym intrygujący jest np. wątek Bramy Rybnej, która na oko wydaje się bardzo stara, a to za sprawą liszajów na elewacji z ledwo już widoczną sylwetką rybaka, udatnie zarysowaną kiedyś przez Władysława Filipiaka i odnawianą przezeń na początku lat siedemdziesiątych. Oko okiem, ale po prawdzie, to Bramę wzniesiono w 1954 roku, jako rekonstrukcję budowli średniowiecznej, rozebranej w latach sześćdziesiątych minionego stulecia. Odbudowy tego obiektu podjęło się Zjednoczenie Robót Elewacyjnych z Warszawy, które „w bój" poprowadził inżynier Eugeniusz Bogdan. Oto piękny opis tej akcji, wyjęty z „Trybuny Ludu" (1954 nr 138):

„Stanął na mur tynkarz Koza. Codziennie z innej brygady, raz od Janika, raz od Witkowskiego, to znów od kogoś innego przychodziło po paru mu pomagać. A wieczorami wkraczała brygada pomocy tynkarskiej Pasternaka, chłopaki jeden w drugiego, którzy w ośmiu obsługują czterdziestu tynkarzy i wyrabiają po 500 procent normy".

Roboty murarskie zakończono w kilka tygodni! „Lecz bój o bramę trwa. Dzisiaj na niej pracuje młodzieżowa brygada ZMP-owca Włodzimierza Gałązki, wykonując roboty elewacyjne. I tak się zawzięli, że ani zgonić ich z rusztowań. To przecież ostatnie dni, już im depczą po piętach plastycy, którzy siedzą na rusztowaniach i wyczarowują jakieś fantastyczne kształty ornamentów".

Był entuzjazm, ale — jak się okazuje po latach — był też koniak, którym artyści raczyli inżyniera Bogdana w hotelu „Europa", gdzie biwakowała ekipa malarzy zatrudnionych przy dekorowaniu staromiejskich elewacji. Grupa ta, zorganizowana przez artystów warszawskich: Leona i Halinę Michalskich oraz Helenę i Lecha Grześkiewiczów, wykonała malowidła lub sgraffita na fasadach 30 kamienic.

„Spaceruję dziś po Starym Mieście, pływam i chowam się po bramach, bo sprzęt ruchomy budowlany wznieca tumany kurzu. Widać, wre robota, nawet obcokrajowcy (Wietnamczycy) kręcą się po zaułkach, gdzie poznają to, co przyda im się na pewno w ratowaniu zabytków zanurzonych w ich dżungli.

**Ale widać też, że nikogo nie obchodzą sgraffita i freski, zrealizowane na zabytkowych ścianach z okazji X-lecia Polski Ludowej przez następujących artystów warszawskich i lubelskich: Michalskich, Grześkiewiczów, Edwarda Koneckiego, Marię Rostkowską i Janusza Strzałeckiego, Józefa Czerwińskiego, Jana i Magdalenę Świdzińskich, Wiesława Majchrzaka i Bożenę Truchanowską, Stanisława Szczepańskiego, Marię Wolską-Berezowską oraz Stanisława Brodziaka, Piotra Wollenberga, Teodora Gałysza, Jarosława Łukawskiego, Stefana Sarneckiego i Eugeniusza Pola (sgraffito z 1955 r.).**

Widać przy tym, że nie widać już, bo zostały skute i zamurowane sgraffita: Władysława Zycha wizerunek Wincentego Pola na budynku zajmowanym przez Lubelski Oddział PKZ i Henryka Zwolakiewicza girlandy (?) na ścianie Młodzieżowego Domu Kultury przy ul. Grodzkiej 11.

Kompletna anihilacja grozi wielu wymienionym realizacjom, w tym — jak na ironię! — kompozycji Łukawskiego i Gałysza przy Rynku 13, zaopatrzonej takim cytatem z Biernata z Lublina:

*Boć mądrzy nie umierają,*
*Jako szaleni mniemają,*
*A po śmierci prawie żywią,*
*Ludzi rządząc nauką swą.*

Możliwe, ale chyba wedle porzekadła: Mądry Polak po szkodzie.

Z przyrynkowej kamienicy nr 18 zniknął już imaginowany portret rzeźbiarski Jana Michałowicza z Urzędowa, wykonany przez legendarnego artystę krakowskiego, Jacka Pougeta, a rok temu porzucony w klatce schodowej, prowadzącej do Dyrekcji Rewaloryzacji Starego Miasta.

Skutecznie poddano konserwacji tylko jedną kompozycję z 1954 roku: autorstwa Jana i Heleny Cybisów, na kamienicy Rynek 18. Na marginesie wspomnijmy, że będącego wówczas w niełasce Cybisa wciągnął „po cichu" do zespołu Leon Michalski. „Kiedy rzecz się wydała, zezłościł się bardzo Sokorski, ale nie minął rok, kiedy minister ogłosił w „Nowej Kulturze", że Cybis z młodymi pięknie wymalował Lublin".

Sokorski został zresztą przypisany przez Michalskiego do Starego Miasta w sposób dość trwały. Otóż pierwszy z prawej czwórki sędziów rozpatrujących sprawę Kochanowskiego na sgrafficie kamienicy Rynek 19 to właśnie sam mistrz fantazji, akuratnie wymodelowany w „obrazku" w prawej dolnej części tej rozległej, interesującej kompozycji.

tak, aby rzeczywistość odpowiadała założeniom. To ważne, nawet jeżeli dzisiaj mamy cokolwiek inne zdanie na temat tych założeń. Gdyby przyjąć, że sylwetka jakiegoś miasta czy jego okolice mogłyby być ukształtowane w nieskończonej ilości zamkniętych form, z których każda zdawałoby się nam piękna i celowa, każda ożywiała naszą wyobraźnię i czyniła nas bogatszymi o przeżycie, to wniosek może być tylko jeden: określona społeczność może funkcjonować w olbrzymiej ilości różniących się środowisk materialnych, których zasady przestrzenne nie odbiegają drastycznie od tych, jakie zrodziły, ukształtowały taki a nie inny odbiór przestrzeni. Jeżeli następuje rozdźwięk między ukształtowanymi w procesie rozwoju sposobami odbioru, rozumienia miasta przez jego mieszkańców a formami, które to miasto budują, pojawia się wyobcowanie — mieszkańcy zaludniają obce sobie przestrzenie.

Wygląd miasta, jego formy nie mogły negować idei, którym hołdowali jego twórcy — trudno bowiem okłamać samego siebie. Przekłamanie powstaje wtedy gdy zorganizowana społeczność zaczyna mieć niekontrolowanych przez siebie przedstawicieli-specjalistów od poszczególnych gałęzi życia, a tym bardziej, gdy ma specjalistów od prognozowania własnych potrzeb, którzy o tych potrzebach dowiadują się z państwowego normatywu. Mimo że wtedy byli specjaliści, i to doskonali, od budowania budynków, ich wytyczania czy użytkowania, to nie było pośredników i organizacji, których jedynym zajęciem zdaje się być rozpraszanie energii społecznej na sprawozdania meldunki, narady i wykonywanie dyrektyw. Cała energia społeczności była podporządkowana zaspokojeniu rzeczywistych potrzeb.

Przeglądając materiały świadczące o tak niegdyś intensywnym rozwoju jakiegoś miasta, uświadamiamy sobie ogrom wartości i możliwości, które zostają zagubione w sieci dogmatów i teorii na wszystkich piętrach naszego współczesnego społeczeństwa. A przecież te mury, dachy, detale architektoniczne to tylko zewnętrzna forma działania wielu ludzi, niepowtarzalnych indywidualności. Barwna mozaika, jaką było ówczesne społeczeństwo, zostawiła podobną jej przestrzeń. Szansą Łęcznej w przedstawionych okresach był handel, hotelarstwo, zajazdy, i, jak widać, została ona świetnie wykorzystana. Zasady społeczeństwa pozwoliły na to, czego dzisiaj nie mogą dać najlepsze ustawy na świecie — bo ponoć takie mamy.

Około połowę mieszkańców Łęcznej, a w czasach rozkwitu nawet więcej, stanowili Żydzi. Eksterminacja ludności żydowskiej podczas II wojny dokonała dzieła powolnego upadku dawnej Łęcznej, a zapoczątkował transport kolejowy, inny układ rynków zbytu i hodowli oraz uprzemysłowienie kraju. Po wojnie znajdujemy Łęczną prowincjonalną, zapomnianą, powoli niszczejącą. Drewniane budowle są dewastowane, trwalsze niszczeją bez środków na remonty, bez perspektyw na poprawę koniunktury.

**(Dokończenie nastąpi)**

---

**Dekoracje z 1954 roku należą do historii: Starego Miasta, sztuki polskiej, plastyki lubelskiej. Wbrew plotkom, wykonane zostały bardzo solidnie; do tynków używano np. piasku sprowadzanego z okolic Tomaszowa Lubelskiego, który to materiał zyskał uznanie już wcześniej, podczas prac na warszawskiej Starówce, gdzie zweryfikowali go przedwojenni murarze. Stosowane wówczas farby też były lepsze, o czym pośrednio świadczą np. obrzydliwe „tony", jakie kompromitują dziś kamienice Rynek 6 (dawniej dekorowane przez Grześkiewiczów) i Rynek 11 (kiedyś Brodziaka i Wollenberga), które poddano konserwacji i częściowej rekonstrukcji w latach siedemdziesiątych.**

**Ten cały dorobek uległ zniszczeniu czy niszczeje z jednego głównie powodu: z braku bieżącej konserwacji. A przecież od chwili ukończenia owych dekoracji minęły już 32 lata!**

Dlaczego jednak nie dbano o sgraffita i malowidła?

Dlatego — słychać czasami — że dekorowanie Starego Miasta wykonane zostało bez respektu dla reguł konserwatorskich.

Chciałoby się więc zapytać: a jakie to reguły były wówczas w modzie, a z jakich to racji zaakceptował malowidła sam Jan Zachwatowicz?!

A może w tej całej historii idzie głównie o to, że lubelskie Stare Miasto odnowiono właśnie w okresie, który do białej gorączki doprowadza dziś tego i owego... Jak wysoka bywa temperatura tego białego szaleństwa, przekonują trzy pierwsze numery „Poezji" z bieżącego roku, w których produkuje się m. in. B. Urbankowski...

---

ZANURZAM rękę w piskliwym stadku. Kilkudniowe bażanciki pierzchają w odruchu samoobrony. Tylko te najmłodsze, które wylęgły się rano, garną się jeszcze do otwartej dłoni. Biorę szczyptę witaminizowanej paszy. Wśród piskląt mała przepychanka i bijatyka, wreszcie kilka miękkich dziobków uprząta poczęstunek.

W wychowalniach — specjalnych kojcach w budynku — szeleści czysta, żytnia słoma. Sztuczne kwoki emitują ciepło. Podrasta w nim pierwsza, wylęgła na przełomie maja i czerwca, 4-tysięczna partia bażancich piskląt. Tegoroczny wylęg zaplanowany jest na 14 tysięcy sztuk. Koła łowieckie z województw lubelskiego, białskopodlaskiego, chełmskiego i zamojskiego chętne są nabyć i 20 tysięcy sztuk tych ptaków. Duże jest na nie zapotrzebowanie, ale i spore ubytki w naturalnych stadach spowodowane chemizacją i mechanizacją rolnictwa, zagrożeniem ze strony drapieżników, nie mówiąc już o innych, nie sprzyjających bażantom warunkach bytowania.

Ośrodek Hodowli Zwierzyny Zarządu Głównego Polskiego Związku Łowieckiego w Wierzchowiskach koło Lublina jest jedyną myśliwską placówką w naszym czterowojewódzkim regionie, która specjalizuje się w doświadczalnej hodowli bażantów.

# WIERZCHOWISKIE BAŻANTY

**Marta Denys**

Pod koniec lat 50-tych, jeszcze na terenie byłej posiadłości Koźmianów, tej w parku nad stawem, założona została pierwsza bażantarnia. Obecna od kilku już lat rezyduje po drugiej stronie szosy, wsparta o ścianę lasu.

Prócz hodowli, inkubacji i wychowu bażantów ośrodek, którym kieruje mgr inż. leśnictwa Włodzimierz Kosiorek, prowadzi dość rozległą, bo na 18 tysiącach hektarów powierzchni pól i lasów, gospodarkę zwierzyną leśną.

Wydawałoby się, iż nieodległe od stolicy województwa lasy w Wierzchowiskach, Mełgwi i Skrzynicach są spokojnymi, zielonymi terenami. A tymczasem odbywają się tutaj łowy na rzeczywiście grubego zwierza — dziki, sarny i jelenie. Co roku odławia się stąd na eksport około tysiąca kuropatw i 500 sztuk zajęcy. Wierzchowiskie bażanty są również chętnie widzianą przez myśliwych zdobyczą, aczkolwiek pozostaje jedynie sama przyjemność celnego strzału! Tusza bowiem zwierzyny i ptactwa, poza niewielkim, odpłatnym zresztą, procentem, jest własnością koła łowieckiego, które za pośrednictwem Przedsiębiorstwa „Las" przekazuje upolowaną dziczyznę do handlu i gastronomii. Nie zawsze więc comber z dzika z sosem głogowym (vide: „W staropolskiej kuchni i przy stropolskim stole" Marii Lemnis i Henryka Vitry) nagradza trudy, ryzyko i koszt myśliwskiej wyprawy.

Podstawowe bażancie stado w Wierzchowiskach składa się z 500 kur i 52 dorodnych, o złoto-rdzawo-pawiowym upierzeniu kogutów. Jakby im nie dość było tych barw, pysznią się jeszcze czerwonymi „koralami" i białą wokół szyi krajką. Każdy z tych ptaków ma więc do towarzystwa — dla tak zwanej lepszej zalęgowości — 10 szarych, skromnych kurek. Stadka te bytują pod jedną wprawdzie, zakrywającą je od góry — by nie odleciały — siatką, ale za to w osobnych boksach. Mają tam trochę trawy, niewysokie krzaczki, żerdzie, małe zadaszenia, w pojemnikach zaś wodę i pokarm wzbogacany witaminami w czasie nieśności kur.

Zgodnie z prawem natury, także i w tej czasowej kwarantannie bażancie toki rozpoczynają się w połowie marca i trwają do maja. Gdy stopnieją śniegi, koguty wykonują godowy taniec. A to chodzą przed kurami drobnym kroczkiem, a to puszą pióra i nadymają „korale", trzepoczą skrzydłami i ofiarowują swoim wybrankom kawałki pokarmu. Koguty-rywale niech się wtedy trzymają z daleka, bo może dojść do walki aż do ostatniego bażanciego pióra. Obce kurki, owszem, są mile widziane. Bażant-kogut „depcze" wszystkie, które się na jego teren zbliżą. Wszelako nie interesuje go później ani gniazdo, ani wychowanie piskląt. Są jednakże monogamiczne gatunki tych ptaków, na przykład bażant Wallicha: w okresie godowym kogut wierny jest tylko jednej samicy, chętnie też bierze udział w doglądaniu swych piskląt. Podobne w zachowaniu są bażanty królewskie, które tokują w pojedynczych parach. Takie to już ich bażancie obyczaje. Koguty z Wierzchowisk to zdecydowani poligamiści. Gdyby nie siatki odgradzające boksy, mogłoby dojść do niejednego ekscesu.

Rano i wieczorem wabią więc kury swoim miłosnym bażancim „kok — kok — kok". Od kwietnia do lipca przychodzi czas gniazdowania. W wymoszczonych przez siebie gniazdach kury składają jaja i... w warunkach sztucznej hodowli „wysiadują" je inkubatory. I jest to nieco złożona procedura. Bo najpierw, jak mnie objaśniła pani Stanisława Krawczyk, już od sześciu lat tu pracująca jako bażanciarka, co tydzień zbiera się jaja w liczbie 2—3 tysięcy. Gazuje się je (dla dezynfekcji) formaliną i nadmanganianem potasu. Jaja wkłada się następnie do tzw. przedklujnika. Po tygodniu się je prześwietla. Okazuje się wtedy, ile z nich jest zalężonych. Przez następne trzy tygodnie „wysiaduje" je w temperaturze 37—38 stopni Celsjusza i przy 27—28 procentach wilgotności ów przedklujnik, który samoczynnie, co dwie godziny, jak przykładna kwoka, obraca jaja na drugi bok.

Pomieścić się tam może jednorazowo 10 tysięcy bażancich jaj. Dodajmy, że w czasie całego sezonu lęgowego kura znosi 40—50 jaj. W warunkach naturalnych bywa, że porzuca gniazdo, gubi jaja. Tutaj, w ośrodku, drukowi ścisłego zarachowania nie ujdzie uwadze ani jedna sztuka!

Pani Stanisława demonstruje przede mną klujnik — następny etap, tym razem już wykluwanie się piskląt. W specjalnych szufladach, po 100 jaj każda, w ciągu pięciu dni pękają skorupki, a kiedy otworzy się ten inkubator, pełen on jest piskiego szczebiotu i ruchu. Małe bażanciki idą z kolei do kojców, do tak zwanej wychowalni. W dzień, kiedy zwiedzałam bażantarnię, wykluło się 1400 nowych ptaszków. Jak poznać ich płeć? Przecież z tego nowego przychówku trzeba wybrać nowe, podstawowe stado: 500 kur i 52 koguty. Jak je rozpoznać, kiedy jedno w drugie, jota w jotę, jednakowo szare i prążkowane?

Po 6—7 tygodniach — mówi pani Stanisława — bażanciki zmieniają barwę upierzenia. Na kogutki to ona ma już oko! Pod wolem i na szyjce pokazują się czerwone piórka i wtedy wiadomo, co jest co. Ale płeć bażancików poznać też można po przestrzeni nad oczkiem, gołe pole znamionuje przyszłe kogucie „korale", tak okazałe w czasie godów.

W cieple, na słomie, karmione witaminami bażanciki po trzech tygodniach są rażne i odporne. Wychodzą już na otwarte, trawiaste wybiegi. Próbują skrzydełek, zbierają ziarnka piasku, kryją się w trawie. Ciągle są w ruchu. Po 8—10 tygodniach wybiera się z nich podstawowe stado, a poprzednie, wraz z pozostałą większością bażantów, odsprzedaje kołom łowieckim. Cena? 345 złotych — sztuka. Starsze, jednoroczne, są nieco droższe, około 600 złotych.

Ciekawić może cena, jaką płaci „dewizowy" myśliwy za celny strzał do bażanta. Ile to kosztuje? 1500 złotych. I w takiej też, krajowej walucie producenci i koła łowieckie otrzymują rozliczenia i należność za swoje ptaki i zwierzynę. Żadnych walutowych odpisów z tego tytułu nie mają. To tylko biura podróży — najczęściej PBP „Orbis" — organizujące zagraniczne polowania przedstawiają cennik w twardszej walucie.

Wierzchowiskie bażanty, krzyżówka wielu już azjatyckich i europejskch gatunków tych ptaków, uzupełniają i zasilają stada żyjące na wolności. Widzimy je czasem na skraju lasu i pól, wzbijające się niewysokim lotem. Nurkują jednak czym prędzej w trawy i zboże. Człowiek ich nie dogoni, choć nie są tak szybkie jak strusie. Lubią pobuszować po uprawnych polach, lubią wodę, choć piją jej mało. Za to wiedzą, że porasta ją bujna roślinność i żyje tu wiele smakowitych zwierzątek. Bażanty nie są wybredne, jedzą wszystko. Noce spędzają na drzewach, z dala od pnia, by słyszeć, czy nie skradają się ich odwieczni wrogowie. Już wcześnie rano przemierzają kilometry wzdłuż cieków wodnych, stale na wschód, jakby ku mitycznej Kolchidzie. Od 500 lat są tradycyjnym motywem dekoracyjnym w sztuce chińskiej. Do Europy sprowadzili je właśnie z Kolichidy Grecy, a starożytni Rzymianie rozwinęli hodowlę tych ptaków na szeroką skalę. W Polsce poluje się na nie od XVIII wieku. Prowadzenie bażantarni było niegdyś najwyższym myśliwskim przywilejem, rezerwowanym w niektórych krajach dla panujących.

O bażantach można by więc długo. O wybornej z nich pieczeni, według przepisów, oczywiście, staropolskiej kuchni — także. Na Podlasiu na przykład bażant należał kiedyś do wyjątkowych przysmaków weselnych. Przyrządzano go szczególnym sposobem, a mianowicie: wiązano ptaka do drabiny i na pagórku za wsią, nad gorejącym stosem ż y w c e m smalono! Dopiero potem gotowano i dosmaczano.

Kryjące się w trawach bażanty, gniazdujące kury giną pod ostrymi jak żyletki kosiarkami. Giną od chemicznych oprysków roślin uprawnych, które są także ich pożywieniem. Kiedyś bażanty niszczyły skutecznie stonkę i drutowce, póki się te drugie nie uodporniły na środki chemiczne, a te pierwsze nie zaczęły od nich padać. Drapieżniki, nie sprzyjające warunki atmosferyczne, brak pożywienia, niegdyś kłusownictwo przetrzebiły bażancie stada. W latach 70-tych ich pogłowie w Polsce liczyło już tylko około 350—400 tysięcy sztuk. Odnawiane jest ono staraniem kół łowieckich i ośrodków hodowli. W czasie sezonu na bażanty (październik — luty) pada ich sporo pod myśliwskim strzałem, ale planowa hodowla pozwala przetrwać temu delikatnemu i pięknemu gatunkowi ptaków łownych. Przedmiotem myśliwskiej zdobyczy są tylko koguty; kury, choć nie mniej smaczne, znajdują się pod ścisłą ochroną gatunkową.

Bażantami z wierzchowiskiego Ośrodka ZG PZŁ opiekuje się stale Akademia Rolnicza w Lublinie oraz służba weterynaryjna w Piaskach.

Chwilę tylko rozmawiałam z mgr. inż. Włodzimierzem Kosiorkiem. Za pierwszym razem, czego mu wcale nie wymawiam, był zajęty zagranicznymi myśliwymi. Drugim razem spieszył na nocny obchód lasu. Tę nieobecność zrekompensowała mi pani Teresa, jego żona, główna księgowa ośrodka, a więc prawa ręka, i jak się okazało, przyszły myśliwy! Od niej też dowiedziałam się wielu ciekawych szczegółów związanych z hodowlą bażantów i prowadzeniem tej placówki.

# STRONY KLUBU LITERACKIEGO ZLP

# SPEŁNIENIE

**Adam Kalbarczyk**

FERRO Cruz nie różniło się wiele od innych meksykańskich miasteczek, rozrzuconych w tej części kraju. O tym, że nie ma miejsc na świecie, gdzie na tak małej powierzchni zebrałoby się tyle śmieci, przekonał mnie już dawno Teddy O'Cnisn, stary żeglarz, zdegradowany za pijaństwo tak olbrzymie, że aż zraziło to do niego kilku kapitanów brytyjskiej marynarki. Zamieszkał tu jeszcze przed wojną. Zamieszkał — to nawet za dużo powiedziane. Tułał się z krańca do krańca Ferro Cruz, wytrzymując nasze pół-tropikalne życie dzięki hartowi nabranemu wśród licznych przygód w życiu oraz kilku umiejętnościom i swojej sile, a także niesamowitemu darowi opowiadań.

Teddy postawił kiedyś taką tezę, że im prymitywniejsze miejsce w naturze, tym przez człowieka jest bardziej gwałcone. A Ferro Cruz wyrosło na dogorywających szczątkach, pozostałych po jakiejś awangardzie dżungli. Było to za czasów wielkich poszukiwań nafty, zresztą nie tak dawno temu. Jeśli chodzi zaś o śmiecie, to rzeczywiście było ich sporo. Trudno mi ocenić prawdziwość stwierdzeń Teddy'ego, bo nigdy w życiu nie dana mi była taka skala porównania, jaką on posiadał. Mimo swego alkoholizmu zwiedził jednak niezły kawałek świata i bez wątpienia jakieś konkretne przesłanki musiały nim powodować przy konstruowaniu owych, dość kategorycznych, wniosków.

W Ferro Cruz do brudu przyzwyczailiśmy się i nie zwracaliśmy nań wielkiej uwagi. Po prostu po przeczytaniu gazety rzucało się ją na ziemię, a niedopałki zostawały tam, gdzie się ostatni raz zaciągnięto papierosami. W ciągu roku miasto było sprzątane tylko przed Wielkanocą.

W ogóle w tym określeniu Teddy'ego o gwałceniu natury było sporo prawdy. Rzeczywiście deptano tu wszystko, co się zazieleniło i ośmieliło wyjrzeć na słońce. Było to, oczywiście, działanie nieświadome i niecelowe, właściwie nawet wśród kurzu i ciasnych uliczek trudno dostrzegalne.

Ludzie poruszali się tutaj w dzień jak we śnie, a życie tętniło najoardziej rankami i wieczorami, no i, oczywiście, nocą w barze. W środku dnia obowiązywał, święty na południu Meksyku, czas sjesty. To, co się zdarzało w dzień, miało więc u nas posmak niesamowitości i dziwności. Wszystko to było wynikiem upałów, potwornych wyładowań słońca, których ofiarami padali ludzie, zwierzęta i cała ziemia.

To, że akurat dzisiaj, w najżarliwszym okresie dnia, musiałem udać się do sklepu Jose Santany, było przypadkowe i wynikało z nagłej konieczności. Przełamując wstręt wyjścia z domu i barierę słonecznego szaleństwa, ruszyłem w stronę zabudowań Santany, znanego w całym Ferro Cruz z dobroduszności i niespotykanego talentu do prowadzenia pozbawionych sensu, zawikłanych i czczych monologów. Tolerowano to, jako nieszkodliwe dziwactwo, a nawet uważano je za niezbędny element osobowości ogólnie szanowanego sklepikarza.

Sądzę, że w większości takich miasteczek, jak nasze, są ludzie i takie zjawiska, z którymi mieszkańcy zżywają się do tego stopnia, że, gdy ich nagle zabraknie, następuje we wszystkich jakaś przemiana, tak jakby na przykład zmienił się zapach powietrza albo klimat.

Ferro Cruz zatopione było w bezruchu. Czas o tej porze nie płynął, lecz sączył się leniwie ponad dachami domów, wydłużając na ulicach ich cienie w tempie ludzi śmiertelnie znużonych. Miasteczko wyglądało jak kadr z filmu. Wszędzie panowała cisza, jakby ludzie obawiali się jakiegokolwiek dźwięku, mogącego pogorszyć jeszcze sytuację. Wszyscy trwali przeczekując — nie czekając na wieczór, ale przeczekując południe. Nawet muchy gdzieś się schowały. W mieście królował spokój i sen.

Drogę z domu do drzwi sklepiku Santany przebyłem w kilka minut, ale czułem się jak po godzinnym marszu w górach. Otworzyłem drzwi i skryłem się w cieniu. Wewnątrz panował półmrok, bo okna były zasłonięte. Owionął mnie miły chłód i zapach naftaliny. Podniosłem wzrok, spojrzałem za kontuar i zamarłem.

Zaskoczenie jest zwykle wynikiem zderzenia z innym systemem wyobrażeń. W moich oczekiwaniach co do osób mogących stać za ladą sklepu, w którym bywałem raz na kilka dni od dobrych paru lat, nigdy nie posunąłbym się do myśli o pięknej, jasnowłosej dziewczynie. Ta — nie czekając aż ochłonę — uśmiechnęła się w sposób który zachwiał moją świadomością. Zapytała cichym, ale wysokim głosem, w którym istniała żywa radość i świeżość, bardzo rzadka u dziewcząt z Ferro Cruz:

— Czym mogę panu służyć?

Nie zwróciłem uwagi na to, w co była ubrana; zafascynowała mnie jej twarz. Te doskonałe rysy, ten spokój i jednocześnie jakaś nieokreślona duma i siła, ta odwaga i dzikość, czająca się w oczach — to nie mogła być dziewczyna z Północy. Była zarazem ekscytująca i przerażająca, tkwiła w niej potęga mocnej natury i dziewczęca łagodność. Tylko przez moment zastanawiałem się, kim jest i co tutaj robi. Nie znalazłszy żadnej sensownej odpowiedzi, spojrzałem w jej oczy. Były głębokie, ale nie przejrzyste. Jednocześnie odniosłem wrażenie, jakby były zmęczone, przygaszone i senne. Dziewczyna nie wydawała się być zmieszana moim zaskoczeniem i milczeniem.

Rys. A. D. Misiura

Spytała powtórnie, tak jak pytają wszyscy sprzedawcy:

— Czym mogę panu służyć?

Ten głos otrząsnął mnie i wyrwał z dziwnego stanu, w jakim się znalazłem. Czułem jednak, że w tym, co robię, nie jestem już zupełnie sobą. Mój sposób myślenia i zachowania uległy dziwnemu zakrzywieniu i przekształceniu. Moje myśli napotykały na jakiś opór i wychodziły z niego załamane. Zapomniałem o tym, po co tu rzeczywiście przyszedłem, zrodziło się we mnie zupełnie inne pragnienie. Poczułem je nagle jako wielką tęsknotę, jako wyraz tego co tkwiło we mnie przez całe życie i nie mogło znaleźć ujścia. Poczułem się jak wędrowiec postawiony przed ostatnią szansą dotarcia do celu. I postanowiłem ją wykorzystać. Powiedziałem lekko drżącym z przejęcia głosem:

— Nie pamiętam, po co tutaj przyszedłem, ale nie jest to dla mnie teraz ważne. Odnalazłem w tym sklepiku, który znam od tak dawna i w którym tak często bywam, coś, czego szukałem bardzo długo. Tylko nie znam ceny i nie wiem, czy mnie stać na jej zapłacenie.

Dziewczyna uśmiechnęła się znów i odparła:

— Może pan kupić wszystko. Wszystko, co się w tym sklepie znajduje...

Zastanowiłem się, jak jej wyrazić moje życzenie. Wreszcie zacząłem mówić wolno, ciągle kontrolując znaczenie wypowiadanych słów:

— Nie wiem, jak to pani powiedzieć, ale mam wielką prośbę. Gdy będzie pani się zastanawiała nad jej spełnieniem, proszę uwzględnić wielkość mojej potrzeby i — teraz to czuję — jej niezbędność dla mnie. To, co chciałbym uzyskać, nie jest może tak łatwo osiągalne, ale może także i dlatego posiada dla mnie wielką wartość — przerwałem na moment. — To, co chciałbym zdobyć, to jest pani miłość. Dla mnie i do mnie. — Wydawało mi się zupełnie naturalne, że to wypowiedziałem. Dziewczyna działała na mnie po prostu silniej niż upał.

Podniosłem wzrok i zajrzałem w jej źrenice. Ujrzałem w nich dżunglę. Dżunglę wilgotną i duszną, ciemną i rozpaloną gorącem, pełną jadowitych węży i śmiertelnych owadów, zieloną, gęstą i niepoznaną. Ogarnęło mnie przerażenie. Chciałem uciec, wycofać się, ale nie mogłem niczego uczynić. Byłem skrępowany. Poczułem, że dałem już krok w przód i że nie ma od niego ucieczki. Zabrnąłem za daleko, byłem już w tej mrocznej i potężnej krainie, nikt nie mógł mnie z niej wyrwać i nikt nie potrafił mi pomóc.

Tak spełniała się moja tęsknota, wdzierałem się w świat, który we mnie żył od urodzenia, bo ja w nim od urodzenia trwałem. Byłem już w nim, wchodziłem weń całym sobą. Wchłaniała mnie i przygarniała wieczna, wszechpotężna i nieskończona dżungla. Ona jedyna była trwała i niezmienna i jej miłość wybrałem. Istniałem już w niej i w niej się zatraciłem. Zrozumiałem wreszcie słowa Teddy'ego, który kiedyś powiedział: „Ona tu jest. Jest nieśmiertelna i ona będzie wami władać". Zapytałem wtedy: „Kto?", a stary, pijany marynarz odpowiedział mi głosem wypełnionym smutkiem i znużeniem poznania: „Dżungla".

*Bieszczady, czerwiec 1985.*

# Kompleksy

CODZIENNOŚĆ nasza to wielka suma wyborów. Każdy wybór może się objawiać w zewnętrznych faktach bądź też dokonywać się w nas samych. W potężnej masie treści, które do nas przenikają, coraz słabiej rozróżniamy to, co wartościowe, od tego co powinno uchodzić dla nas za bezwartościowe. Powtarzamy myśli innych, dając się na pamięć o życiu, ale nie ucząc się żyć.

Być może, reakcją na bezbarwność dzisiejszego słowa jest pojawienie się wielu młodych poetów, którzy chcą szukać odpowiedzi w najgłębszych pokładach ludzkiego ducha, dających poczucie wartości życia. Wielu młodym nie wystarcza rozmyty obraz rzeczywistości. Niektórzy z nich sięgają po pióro, by w słowach dokonać segregacji prawd. Bowiem są świadomi, że nie ma definicji prawdy, która umiejscawiałaby ludzki intelekt w oazie bezkrytycyzmu. Ustawienie hierarchii prawd na różnych poziomach jest tak konieczne, jak rozkład anatomiczny ciała ludzkiego: co by było, gdyby myślenie wybiegało z niższych partii ludzkiego ciała, a nie z głowy noszonej dumnie i wysoko?

Selekcja „naturalna" między młodymi twórcami jest konieczna. Pozostaną silniejsi. Ale kompleksy, które u piszących poetów mogą się pojawić nie oznaczają ich przegranej. Pozornie słabsi mogą poświęcić się nadrabianiu „ułomności" i wystarczy czyjaś pochwała, by nić snuć dalej. Najniebezpieczniejszym może się okazać dla twórczości i samego twórcy kompleks „ptasi": tęsknota do przestworzy i jednocześnie konieczność zdobywania sił na zniesławionej ziemi. Buntownikom to bardzo grozi, o czym przekonują nas rozmiary narkomanii i pijaństwa wśród młodych.

Stąd nasuwa się apel: jeżeli młodzi chcą ustawić właściwie hierarchię prawd i wartości, muszą wreszcie sobie powiedzieć, że życie jest trudne i trzeba wziąć się w garść. Należy sobie powiedzieć, jakie są realia życia i znaleźć swoje miejsce na ziemi. Wtedy słowa będą dla nas coś znaczyć, zarówno te powszednie, jak i wyszukane. Wówczas miłość będzie oznaczała wyrzeczenie, szczęście będzie zakładało wysiłek, a poezja będzie odkrywać pełne człowieczeństwo — bez kłamstwa i urojeń.

**Krzysztof Guzowski**

# Koń

**Tadeusz Żuczkowski**

FIOLETOWY ciężar zawisł nad ziemią. Nagłe znieruchomienie liści, przeczucie nieuchronności.

— Posłuchaj — szepnęła.

Przystanąłem. Zaskakujące, metaliczne dźwięki wysyłane w świat.

— Ktoś klepie kosę? Teraz?

Pola opustoszały. Pojedyncze drzewa trwały w bezruchu na straży majaczącego w oddali lasu. Stuk, stuk, stuk — rozlegało się w gęstniejącej dokoła ciszy.

# DEBIUTY

## Michał Twarowski

### KOŁYSANKA

*Ukołyszę*
*cieniem pieśni*
*tylko w ciszę*
*marmur pieśni*
*ukołyszę*

*takim sobą*
*głosem cienia*
*nie osobą*
*a z kamienia*
*ukołyszę*

*grobów śpiewem*
*blaskiem słońca*
*łzy powiewem*
*już do końca*

*ukołyszę*
*aż do rana*
*smutek w ciszę*

### OCIERAŁEM...

*Ocierałem strachu dłonią*
*szloch*
*z serdecznej czyjejś męki*
*aby serce me spełniła*

*Ocierałem czyjeś oczy*
*mrokiem*
*czując umieranie*
*wolne małe*

*Ocierałem łzy z radości*
*zmową*
*ciał co w cienie idą*
*okradzione niosąc kwiaty*

*Ocierałem twarz by była*
*własna*
*jak ta ciemność opiekuńcza*
*wystrojona w dźwięk — bez końca*

## Jacek Warda

### PRZESTRZEŃ

*Ileż przestrzeni zawiera się*
*w oknach pociągu pośpiesznego*
*relacji Lublin-Częstochowa*
*siedzę tu (a nie gdzie indziej)*
*patrzę przez to (a nie inne)*
*okno*
*na tę (a nie inne)*
*pola łąki*
*tyle łąk jeszcze nie przeszedłem*
*i właściwie*
*ta niewielka przestrzeń jaką zajmuję*
*jest*
*do pominięcia*

### GDZIEKOLWIEK PÓJDĘ

*Gdziekolwiek idę z tym garbem na plecach*
*trawę nazywam trawą*
*ptaka — ptakiem*
*nie interesuje mnie wtedy filozofia*
*bytu i niebytu*
*po prostu idę*

*Lecz nigdy przecież nie ucieknę tak*
*daleko aby zapomnieć o betonowym świecie*

*Gdziekolwiek idę przecież jesteś zawsze przy mnie*
*i zawsze jest przy mnie*
*ta chłodna stal*
*małego płaskiego*
*kluczyka do mieszkania*

### DOLINA PO WSI ŁEMKOWSKIEJ

*Nikogo tu teraz nie spotkasz*
*chyba że akurat pomagasz*
*przy rozbiórce cerkwi na cele — powiedzmy —*
*opałowe*
*pochylony przydrożny krzyż*
*sam już chyba nie wierzy*
*w nadzieję zmartwychwstania*

## Stanisław Sadurski

### SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM RAZY SIEDEM

*Zapomniane miasta, nieznane miejsca, trudno znaleźć*
*szukając w pamięci, zatarte znaki, niewyraźne ślady*
*co jeszcze zostało, szczekanie i zawodzenie psów*
*w nocy, pohukiwanie puszczyka na pobliskim cmentarzu,*
*tak mało, a przecież została szklanka wody na stole,*
*otwarta Biblia ze ścieżkami liter i tym co odległe*
*a niezapomniane.*

*Snujący się dzień za dniem*
*i dawno, coraz dawniej, dokąd sięgać wzrokiem*
*w skamieniałe muszle czy w błysk w oczach sarny,*
*szukać w trawach łąk pokornych czy w przelocie ptaków,*
*zagubione lata, zaćmienia księżyca, rytm natury*
*i pulsowanie krwi, muzyka sfer i to co po grecku*
*nazywa się harmonią.*

*Siedemdziesiąt siedem razy siedem, siedemdziesiąt siedem*
*razy siedem.*

### CZĄSTKA DOBRA

*Lubię twoje wytarte płaszcze, pasują do*
*zawstydzonego spojrzenia, którym obdarzasz*
*znajomych w ich domach. Nie licytujesz*
*zdań pomiędzy nami i wszystko wychodzi*
*na równo — ty i twoje spojrzenie, jasne*
*jak twoje płaszcze w brązową kratę.*
*Czujesz się dumna w tych ubiorach*
*pasujących do prostej twarzy. Lekkim*
*ruchem ręki myjesz szklankę i powiadasz,*
*że to jest cała filozofia. Otwarte oko*
*natury ogląda cię i czujesz wówczas jak*
*przenika twoje ciało wibrujący promień słońca*
*poprzez wysokie sosny lasu. Tak mało wtedy wiesz,*
*śledząc na ręce ciemną plamkę cienia określasz*
*twoje zamyślenie i cząstka dobra przepływa*
*przez serce.*

## Nagrody dla młodych

**Klub Młodych Literatów, działający przy DK LSM, rozstrzygnął II Konkurs na debiut literacki 1986 r. Przyznano następujące nagrody: w dziedzinie prozy wyróżnienia otrzymali Andrzej Mańka i Małgorzata Rozmus; w dziedzinie poezji drugą nagrodę przyznano Barbarze Mysłowskiej, a trzecią Marcinowi Kotowi; wyróżnienia otrzymali: Anna Piętak, Tomasz Gorczyński, Beata Klak oraz Krzysztof Guzowski.**

— Tam — pokazała ręką wysepkę krzewów.

Dym sączył się między gałęziami i ginął w oparach wczesnego zmroku. Żyły błyskawic muskały niebo. Horyzont pomrukiwał ostrzegawczo. Przyspieszyliśmy kroku. Odgłos kutego żelaza wyznaczał kierunek. Gwałtowne pchnięcie wiatru i setki kłujących kropel runęły w dół, przyklejając nam kurtki do pleców. Puściliśmy się biegiem w stronę rozpędzonego już dymu i zdławionych ulewą stuknięć. Nieprzyjemny opór gałęzi. Chwytały nas mokrymi łapami za włosy i ubranie, wymierzały piekące policzki. Pociągnęła mnie za rękę.

— Patrz!

Ujrzeliśmy coś w rodzaju szałasu. Przed wejściem dymił szkielet zalanego ogniska. Rżenie konia i niepokojąco bliskie trzaskanie gałęzi.

— Co tak stoicie? — dobiegło za pleców.

Odblask błyskawicy liznął metalowy pręt w ręce nieznajomego. Trzeszczący grzmot rozsypał się po okolicy.

— Wejdźcie do środka. Przemokniecie...

Mógł mieć czterdzieści albo sześćdziesiąt lat. Praca w polu zaciera takie subtelności. Podjął nas gorącą herbatą. Odwzajemniliśmy się kanapkami. W jego wielkich dłoniach wyglądały dość śmiesznie. Od dwóch miesięcy prowadził samotną walkę z dzikami. Sprowadzono je tu parę lat temu z sąsiedniego województwa. Mercedesy, ople i fordy dowoziły sezonowych myśliwych, ktoś zbił forsę i na tym się skończyło, a właściwie zaczęło. Nastąpił początek końca. Stada plądrowały pola. Niechętnie wypłacano ochłapy odszkodowań, a żyć trzeba było. Z tego, co udało się wyrwać kłom i racicom.

Rys. Zygmunt Pytlik

Siedzieliśmy tam jak nieproszeni goście na wielkim spektaklu przyrody. Słuchaliśmy kogoś, kto jeszcze był jej częścią. Opowiadał ciekawie i dużo gestykulował. Garbił się, chrząkał, rozczapierzał palce, na brzuchu i grzbiecie rysował ręką paski warchlaków. Nie bały się puszek i samochodów. Przywykły do ognia.

— Wczoraj podeszły aż tu — huknął dłonią w ścianę szałasu.

Zbudował go kilka tygodni temu. Przychodził tu każdego wieczora, rozpalał ognisko i do brzasku pełnił wartę, postukując prętem o kawałek blachy. Kiwaliśmy głowami, czując niestosowność tego gestu. W duchu wstydziliśmy się swojego wysterylizowanego życia. Zdawaliśmy sobie sprawę, że okazjonalne poczucie więzi z naturą to jedynie wakacyjna hipokryzja. W naszej postawie było coś z pamiątkowego zdjęcia z mieszkańcem rezerwatu i okolicznościowej składki na pomoc głodującym.

Ulewa zdawała się słabnąć. Wyszedłem z szałasu, by zaczerpnąć podeszczowego chłodu. Nagle znieruchomiałem. Koń. Stał dęba ze zmierzwioną grzywą. Ciemnofioletowa bryła strachu skamieniała w blasku błyskawicy. Chciałem krzyknąć, pokazać im ten jeden, jedyny epizod. Na próżno. Nie widziałem już nic. Bezgłośnie pogalopował w noc.

Burza oddalała się niechętnie. Pachniało ziemią i soczystością skąpanej zieleni. Drzewa otrząsały się z szelestem. Opuściliśmy kryjówkę. Niebo patrzyło dziesiątkami zamglonych oczu. Stuk, stuk — zabrzmiało w ciemności.

— Ogniska już nie rozpalę — mruknął do siebie.

— To pański koń? — spytałem.

— Jaki koń?

— Wydawało nam się, że słyszymy rżenie konia — wycofywałem się.

— Nie ma tu żadnego konia — wzruszył ramionami.

— A może to mamuśka z pasiastymi? — próbowałem żartować.

— Chodźmy już i nie strasz!

— Dziękujemy i do zobaczenia.

— Szczęść Boże.

Ostrożnie stąpaliśmy po wierzchołkach bruzd. Podświadomie czekaliśmy na pierwsze chrząknięcie.

— Słyszysz? — wbiła mi paznokcie w rękę.

— To pies — powiedziałem niepewnie.

— Skąd wiesz?

— Mówię ci, pies. Chodźmy szybciej. Zimno.

Było coś podniecającego w tych popłuczynach atawistycznego lęku. Czuliśmy zapach nocy, wędrówkę cieni, rejestrowaliśmy najmniejszy szczegół krajobrazu. Kamień, szelest, zmiana barw nabierały znaczenia w każdej sekundzie. Staliśmy się unerwioną cząstką świata, czułą na świadome współistnienie. Metaliczny sygnał coraz dalej, ciszej. Ujrzeliśmy światła motelu. Milczeliśmy. Chcieliśmy zatrzymać w sobie namiastkę ulatującego już napięcia, przeczucia równoprawnej koegzystencji z jej pierwotną radością i strachem, zanim wyparuje z nas, straci wiarygodność jak stare zdjęcia z wakacji.

— Basiu — szepnąłem.

— Tak?

— Ja widziałem tego konia.

— Ja... też go widziałam — spojrzała gdzieś za mnie i uśmiechnęła się z ulgą.

**Redagują: Urszula Gierszon, Urszula Jaros, Grzegorz Pernach, Wojciech Próchniewicz, Nina Sikora. Adres dla korespondencji: 20-010 Lublin, ul. Graniczna 9, tel. 234-49.**

— 8 —

# Zdobycie Monte Freddo

**Feliks Kępa**

**Monte Freddo to po polsku Zimne Wzgórze. Ale dla mnie ta nazwa i to miejsce kojarzyć się będą zawsze z ogniem bitewnym...**

PORANEK 9 lipca 1944 r. wstał rześki i słoneczny, zapowiadał się piękny, upalny dzień. Na odcinku Villa Virginia — Numana, obsadzonym przez naszą 2 Kompanię „Commando", panował zupełny spokój. Jeśli nie liczyć rzadkich, krótkich serii niemieckich Spandau'ów oraz — od czasu do czasu — wybuchów pocisków artyleryjskich po stronie nieprzyjaciela. To działa 1 Dyonu 3 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej wykonywały ognie nękające.

Do współpracy na tym odcinku frontu był przydzielony 1 dyon 3 PAL-u, działający zresztą jeszcze przed naszym przybyciem.

Od wczesnych godzin rannych zastępca dowódcy dyonu, porucznik Władysław Filip Łuczyński, był ze mną w ścisłym kontakcie, rozmieściwszy się wraz ze swoim całym zespołem obserwacyjnym i łącznościowym w Villa Virginia. W ten sposób każde moje ewentualne żądanie co do potrzeb ogniowych artylerii na nasze przedpole mogło być niezwłocznie spełnione. Gdyby zaś doszło do wypadu Kompanii na Monte Freddo, obserwatorzy artyleryjscy mogli niezwłocznie wyruszyć za naszą grupą wypadową w celu zorganizowania nowego punktu obserwacyjnego na zdobytych niemieckich stanowiskach i zapewnienia nam osłony ogniowej siłami całego dywizjonu. Tak też się zresztą stało. Ale nie uprzedzajmy faktów...

Gdzieś około godziny jedenastej ustały nawet te rzadkie wystrzały i wybuchy. Cisza zaległa cały odcinek frontu. Nadchodziło południe, czas chętnie przestrzeganej przez Niemców włoskiej sjesty.

Staliśmy wraz z por. Łuczyńskim pochyleni nad mapą, ustalając dodatkowe cele ogniowe, więc nie od razu zauważyliśmy, że zbliżył się do nas, przybyły właśnie z Villa Terni, dowódca Zgrupowania Commando, major Władysław Smrokowski.

W pierwszej chwili mogło się wydawać, że wybrał się nie na pierwszą linię frontu, lecz poranną przechadzkę: rzucił mi się w oczy jego fantazyjnie nałożony komandosowski zielony beret, biały pas, oficerska trzcinka pod pachą. Nie miał przy sobie żadnej broni, nie zabrał nawet rewolweru... Zasalutowaliśmy. Przywitał się z nami. Popatrzył na górujące nad polskimi pozycjami Monte Freddo, a potem powiedział do mnie dokładnie właśnie tak: „Weź no ze sobą tych swoich chłopaków. Pójdziemy zobaczyć, co jest na tym „zimnym" Monte Freddo!" No i poszliśmy razem, zabierając chłopaków z 3 plutonu pod wodzą wachmistrza Hieronima Gruszczyńskiego i chłopców z mojego pocztu bojowego.

Skradaliśmy się pod górę, nie zauważeni przez nieprzyjaciela, jak koty polujące na mysz, nurkując w krzakach, w zagonach wysoko wyrosłej kukurydzy, wśród winorośli... Z tamtej strony nie było widać ani słychać najmniejszego ruchu.

Tak podeszliśmy pod sam szczyt Monte Freddo. Przed nami, na wolnej od zarośli przestrzeni, stało samotne „contadino" — wiejski dom z kamienia. (Piętro w takich budynkach jest zamieszkane przez właścicieli, na parterze znajduje się pomieszczenie dla krów, owiec i innego inwentarza). Niedaleko za domem musiały ciągnąć się wkopane w ziemię niemieckie pozycje obronne.

Staliśmy na skarpie. „Stary" zdawał się zupełnie nie przejmować bliską obecnością nieprzyjaciela. Wskazując na „contadino", zaczął spokojnie perorować: „Będzie ci się tutaj całkiem dobrze żyło. (Myślał, że w środku nie ma żadnych Niemców, czy co?). Właź do tej chałupy, to będzie twoje m.p. Tam, do tej kukurydzy na prawo, dasz jeden pluton, tutaj — w tę winnicę — 2-gi pluton, i szafa gra!"

Widać trochę za głośno rozmawialiśmy, bo jeden z Niemców obudził się, dopadł spandau'a i chciał nas skosić serią. Ale padł tylko jeden strzał; pewnie nastąpiło zacięcie: Całe, dla nas, szczęście!

Nie było chwili do stracenia. Krzyknąłem na cały głos do moich Włochów po polsku: „Kurwa mać — naprzód!", i... ruszyliśmy „stumetrówką" na odległe o kilkadziesiąt kroków niemieckie pozycje. Posłyszałem jeszcze, jak „Stary" woła: „Trzymaj się, ja za tobą!" Odwróciwszy się na pięcie, walił w dół zbocza po posiłki. Wiedział dobrze, że tu nie będzie żartów, i że za chwilę zacznie się regularna „zabawa w zabijanego". Zaraz też, na znak dany przez majora Smrokowskiego, wystartował nam na pomoc Adaś Hodur z 2 plutonem...

A my tymczasem, w kilkunastu chłopa, lecieliśmy te — niezapomniane nigdy — siedemdziesiąt dwa kroki dzielące nas od wroga. Grzaliśmy spod pachy z włoskich „Berett", z angielskich tomiganów, aż odstrzelone palce sięgających po broń Niemców fruwały nad piaszczystą krawędzią okopu. Nie szczędziliśmy też granatów. Żeby tak przygwoździć Szwabów do dna ich głębokich szczelin przeciwpancernych! „Zabawa w zabijanego" polega na tym, że albo „ty jego", albo — „on ciebie"!

Zastępca dowódcy Zgrupowania Commando, kapitan Stefan Zalewski, który przybył tego ranka do Villa Virginia wraz z mjr. Smrokowskim, ale pozostał na miejscu i tylko z dołu obserwował nasz wypad, tak opisywał później na kartach książki „Zielony talizman" (Bolonia, 1946), ów atak:

„Nie słyszałem rozkazów, jakie padły z ust dowódców, widziałem natomiast u jednego z Włochów odruch nagłego opadnięcia głowy na piersi, innego padającego na ziemię, kilku wbiegających do winogronowego gąszczu.

Rąbiąc spod pachy z efkaemu i tommygunów, Włosi podbiegają do miejsca, skąd padają świetne pociski. Tuż pod chałupą inna grupa zatrzymuje się na ułamek sekundy: wszyscy, jak na komendę, pochylają się w tył. W moment potem cztery wybuchy granatów rzuconych w dom i jednego — rzuconego z tamtej strony, wyjaśniają co się stało. Szczekanie schmeisserów pomieszało się w ogólnym, nagle powstałym chaosie z ujadaniem tommygunów, serie spandau'ów krzyżują się z ogniem naszych brenów. Niemieccy strzelcy wyborowi ze względu na bliską odległość oddają zaledwie po jednym strzale i podnoszą ręce do góry. Podchorąży Wierzbicki w zapale walki nie widzi, że ktoś rzuca granat do dołu, gdzie siedzą Niemcy. Strzelając w biegu wpada na ich karki. Głucha detonacja, i..."

Zbyszek Wierzbicki biegł wraz ze mną na wraże stanowiska, waląc spod pachy z tomigana. Siedzący w okopie drań Niemiec wyrzucił handgranat tuż przed pędzącego ku niemu Zbyszka. Granat wybuchł akurat pod Zbyszka nogą, obcinając mu kawał buta wraz z piętą. Stało się to w odległości około 15—20 kroków od niemieckiego okopu. W pędzie Wierzbicki rzucił jeszcze własny granat, dobiegł, i... padł w stanowisko broniącego się Niemca, nakrywając go sobą. I wtedy... nastąpił wybuch!

Czyj to był granat? Może — Zbyszka, może — mój? Może — mojego obserwatora, strzelca Emilio Mirandy? Mógł to być także drugi handgranat siedzącego w dole Niemca, którego nie zdążył on już wyrzucić na zewnątrz... Bóg jeden wie! W każdym razie, pomiędzy ciałami niemieckiego żołnierza i padłego nań Zbyszka Wierzbickiego huknęło, błysnęło...!

Będąc tuż, tuż, zajrzałem do wnętrza przeciwpancernej szczeliny... Nigdy nie zapomnę ostatnich słów Zbyszka: „Dobiliście mnie!". Po chwili skonał.

Zobaczyłem, że ranny jest także Emilio Miranda; na szczęście nie była to rana zbyt ciężka.

Przed nami słychać było krzyki: „Halt! Halt!". To — jak się później wyjaśniło — dowódca kompanii broniącej Monte Freddo, hauptman Wiedeman, usiłował powstrzymać od ucieczki tych spośród swoich żołnierzy, którzy nie chcieli dać się zabić. Nie wszyscy Niemcy tak łatwo podnosili ręce do góry. Jeden z naszych zauważył w pewnej chwili niemieckiego żołnierza z urwaną dłonią (tylko jeden palec sterczał z okrwawionego kikuta, drugiej ręki w ogóle nie było!), jak czołgał się, za naszymi plecami, do porzuconego spandau'a. Krótka seria... i Niemiec przestał się poruszać! W innym miejscu wyskoczył z rowu żołnierz w mundurze feldgrau krzycząc po polsku: „Nie zabijajta mnie! Jezdem Polok!" Zniewolony, rodak ze Śląska.

Parliśmy do przodu. Gnietliśmy w szczelinach Niemców granatami, sialiśmy z „Berett", z tomiganów. Co który, jucha, próbował uciekać, to my go — w wiązkę ognia spod pachy i biegiem za nim... Tu — Zbysio Kural, tam — Hieronim Gruszczyński, obok — Olek Złotecki, Jasio Kulesza! Albo: te chłopaki z mojego sztabu! I ci inni, z 3-go plutonu... Jak nie zwiał Szkop, musiał się poddać albo szedł na drugą stronę swojego życia...

Nagle zobaczyłem, że kręci się wśród nas z karabinem w dłoni nasz obserwator artyleryjski, porucznik Łuczyński. Do tej pory go nie widziałem; może teraz „podrzucił" go nam major Smrokowski? W sam czas, bo już zdołała się obudzić niemiecka artyleria. Zaczęła wspierać swoich, a nam coraz mocniej dokuczać. Trzeba było szybko organizować własny artyleryjski punkt obserwacyjny, żeby dostać ogniowe wsparcie.

Od strony winnicy ciągnął Adaś Hodur na czele 2-go plutonu, obok niego biegł mały Michele Carusso z pluującym ogniem brenem...

Byliśmy już bardzo zmęczeni walką. Platnowemu pchor. Hodurowi i wachmistrzowi Gruszczyńskiemu poleciłem ostatecznie oczyścić Monte Freddo z Niemców i zająć pozycje obronne. Najbardziej wyczerpanych, tych biorących udział w pierwszym ataku, skierowałem na odpoczynek do „contadina". Lekko ranny Emilio Miranda otrzymał zadanie odtransportowania na tyły jeńców niemieckich. Drugą grupę jeńców poprowadził do Villa Virginia podchorąży Ryszard Plesner, obserwator z grupy porucznika Łuczyńskiego.

W ciągu tego dnia Niemcy chyba jeszcze cztery razy próbowali wyprzeć nas z Monte Freddo. Ale nic z tego nie wyszło. Zostaliśmy panami Zimnego Wzgórza.

Ale to było później, po południu. Teraz nastała krótka chwila wytchnienia. I również dopiero teraz ostatecznie uświadomiliśmy sobie, że oto zdobyliśmy Monte Freddo! A także to, że każdy z nas ma już „dosyć". I że jesteśmy mokrzy z gorąca. I także — ze strachu. Bo tutaj nie było żadnych żartów — na tyle strzelania ze wszystkich kalibrów i tylu rodzajów broni, na tak „ciasnym" kawałku terenu. Spojrzałem na zegarek. Była dokładnie godzina dwunasta, samo gorące, włoskie południe!

Do druku przygotował:
**Mirosław Derecki**

*Odznaki żołnierzy niemieckich walczących na Monte Freddo, zdobyte przez pchor. Plesnera 9 lipca 1944 r.: „Infanterie Sturmabzeichen" (Odznaka oddziałów szturmowych piechoty) „Verwundeten Abzeichen" (odznaka za rany).*

# Teatr dojmującego osamotnienia

OTO wchodzimy niepewnym krokiem do ciemnej sali. Za chwilę ma rozpocząć się przedstawienie. I to jest najprawdopodobniej niewłaściwe określenie. Za chwilę rozpocznie się dramatyczny seans, wywiedziony przez reżysera z dwóch słów: „Kiedy umieram", słów jedynych podczas pantomimicznego pokazu.

Jest ciemność. Pojawia się światło. Ruchome, jest także niemym aktorem. W tonacjach szarości zmieszanej z czernią zaczynamy powoli rozróżniać zarysy nierozpoznanych jeszcze przedmiotów. Gdzieś w dali są drzwi. Lekko uchylone, drżą jeszcze. Nie rozpoznając wiele, odczuwamy obecność człowieka.

Właśnie wszedł. Obrócony tyłem, wskazuje dłonią obok siebie. Ubrany w czarny garnitur, białą koszulę, czarne lakierki. Strój wizytowy czy ubranie umierania. Spoglądamy na wskazane miejsce. Żelazne łóżko, biała pościel. Światło rozjaśnia się. Dostrzegamy leżącego człowieka. Ręce złożone na kamizelce. Opuszczone powieki. Człowiek w czarnym garniturze podchodzi do leżącej postaci. Nachyla się gwałtownie, by zaraz odskoczyć do tyłu. Oto on, umierający, leży właśnie na wznak. Opuszcza głowę. Powłócząc nogami, kaleki, oddala się w kierunku stołu. Siada. Patrzy gdzieś przed siebie.

Uchylają się drzwi. Widzimy trzech aktorów. Ubrani w czarne garnitury, białe koszule. Zdziwieni, spoglądają na siebie. Kto nas wołał. Jeden z nich wyjmuje z kieszeni książkę, czyta. Wchodzi ostatni aktor. W czerni. W ręku trzyma świecę, owiniętą bandażem. Zranioną, a przecież bez płomienia. Staje przy łóżku. Za nim ustawiają się pozostali. Rozpalają światło. Jego blask pada na twarz leżącego człowieka. Jest biała jak maska. Twarz z papieru, z wyrzeźbionym grymasem strachu.

Siedzący za stołem bohater zakrywa twarz dłońmi. Obraz jest zbyt okrutny i prawdziwy. Podrywa się, zabiera walizkę, idąc w naszym kierunku. Gdzieś z boku zastygają w tragicznych pozach postaci z obrazu. Trzy ludzkie manekiny z trudem pragną dorównać papierowym postaciom. Bohater, który na próżno próbuje oderwać się od walizki, traci równowagę. Zamiera w geście beznadziei.

W skupieniu wpatrujemy się w ruchome obrazy. Rozedrgana muzyka, pozbawiona melodii i tonacji, wzmaga w nas rozdrażnienie. Oto zaproszono nas na spektakl. Przyszliśmy zobaczyć przedstawienie. Znamy przecież teatr, który w milczeniu przedstawia czwartą premierę w swojej historii. Rodzi się w nas sprzeciw. Przecież postaci, które widzimy, same nieskażone śladem śmiertelności,

# Żołnierz dwóch armii

**Wiesław Horabik**

*— ŻYCIE mnie nie rozpieszczało — mówi pan Kazimierz Podgorodecki. — Kiedy czasami pojadę w teren, usiądę w samochodzie i rozmyślam o przeszłości, aż mi się wierzyć nie chce, że to wszystko przeżyłem. Nieraz koledzy opowiadają wojenne historie, a ja mówię im: „Nie róbcie z siebie bohaterów", a wtedy oni do mnie: „Przecież i ty tam byłeś". I przypominam sobie i znów się dziwię. Wiele szczegółów już pozacierało się w pamięci. Jedno tylko wiem dobrze — życie nie przeminęło mi gładko.*

Urodzony w 1924 roku pod Kamieńcem Podolskim, przeżył pan Kazimierz młodość bardziej chmurną niż górną. Jego rodzina zamieszkiwała na Podolu (ZSRR) i tam zakupiła skrawek ziemi, by gospodarzyć. Miała trochę bydła, parę owiec, prosiaki. Ojciec był chłopem od pokoleń. Kiedy zaczepił się przy ziemi, nie chciał opuszczać swego i iść na niepewne do odradzającej się dopiero ojczyzny. Pozostał. Kolejne dekrety młodego rządu od podstaw zmieniały gospodarkę dawnej Rosji. Podgorodeckim nie szło dobrze. Mając liczne rodzeństwo, mały Kazik musiał wcześnie pójść na służbę do obcych. Jako swoisty posag wniósł gospodarzom jałówkę i owcę. Dopóki chowały się zdrowo, dostawał przyodziewek i opierunek. Na nadrzecznych łąkach pasał chłopskie krowy. Po wielkiej wojnie, która przetoczyła się przez Europę, po rewolucji, były to ciężkie czasy...

Mając dziewięć lat, podążył za rodziną, która wywędrowała w głąb wielkiego kraju. Wcześnie osierocony, trafił do Domu Opieki na Uralu, skąd wysłano go do szkoły zawodowej z internatem. Uczył się ślusarki. Wcześnie odkrył w sobie smykałkę do motoryzacji. Ukończył kurs i otrzymał prawo jazdy. Mając w kieszeni dobry fach, inaczej, choć ciągle samotny, patrzył teraz na świat. Drogę do normalnego życia zablokowała mu wojna. Kiedy czerwcowym świtem hitlerowska nawała runęła na Związek Radziecki, znaczyła ona i dla niego początek wojennej odysei. Słowa Stalina ze słynnego lipcowego przemówienia radiowego: „Wszystkie siły narodu — na rozgromienie wroga!" znajdowały szeroki oddźwięk. Pustoszały miasta, miasteczka i wsie. Ochotnicy ruszali na zachód. Wraz z trzynastoma innymi, zaciągnął się i pan Kazimierz. Dostał najpierw przydział do batalionu roboczego. W myśl zaleceń Komitetu Obrony Państwa („Musimy natychmiast przebudować całą naszą pracę na wojenny sposób, wszystko podporządkować potrzebom frontu i konieczności zgotowania wrogowi ostatecznej klęski") zatrudniono go w fabryce samolotów. W dwa miesiące później dostał przydział do prawdziwego wojska. Już w mundurze wyruszył do Moskwy po samochód. Pojechało ich wtedy kilkudziesięciu. Przyprowadzili maszyny dla 50 dywizji zmechanizowanej Armii Czerwonej. Wraz z nią powędrowali na linię frontu. Pewnego upalnego dnia, podczas przemarszu z odcinka na odcinek, ich kolumnę zaatakowały bombowce wroga. Bliski wybuch pocisku ciężko ranił pana Kazimierza. Nieprzytomny i zmasakrowany przeleżał kilka godzin w bombowym leju. Odnaleźli go przyjaciele. Odesłany do szpitala na tyły, przeszedł miesięczną rekonwalescencję, a potem trafił do pułku zapasowego.

Zbliżał się najtrudniejszy, przełomowy moment w całej wojnie. Hitlerowski pierścień zaciskał się pod Moskwą. Zamach na stolicę kraju rozbudził żołnierską wściekłość.

*— Zgłaszali się nawet ci, których rany jeszcze się dobrze nie wygoiły — mówi pan Kazimierz. — Ludzie bili się z desperacją. Byłem już wtedy w 333 dywizjonie pancernym. Miałem nominację na dowódcę drużyny. Przeszedłem kursy dla czołgistów. Uczyliśmy ludzi rzucać butelki zapalające na wypadek walk ulicznych i posługiwać się granatem F-1, który właśnie wszedł na wyposażenie armii. Zgłaszały się kobiety i niedorostki. Pewnego razu, gdy pełniłem służbę, przyszło do mnie dwóch chłopów z podmoskiewskiej wsi. Prosili, by dać im przepustkę na kilka godzin do domu. Obawiali się, że ich rodziny zginęły. Ryzykując poważnymi konsekwencjami w razie alarmu bojowego, wypuściłem ich. Wrócili na czas, a my zyskaliśmy nowych żołnierzy, przyprowadzili bowiem wszystkich domowników. Potem brali z nami udział w walkach. Wtedy bił się każdy. Podczas jednej z faz bitwy zostaliśmy zamknięci w kotle przez nieprzyjaciela. Nasz dowódca uznał, że nie ma szans na przebicie się. Postanowił jednak ratować oddział. Staliśmy w okolicy podmokłej, bagnistej, porośniętej zdradliwymi trzcinami. Kazano nam przywiązać do nóg deski i tak posuwaliśmy się wolno przez grząskie bajoro. Nie mogliśmy strzelać, by nie zaalarmować Niemców. To był najdłuższy marsz w moim życiu. Niestety nie wolno nam było ratować towarzysza, który nieszczęśliwie stąpnął. Bagno wciągnęłoby ratującego. Straciliśmy w ten sposób trzech ludzi. To było straszne. Po wyjściu z tego terenu śmierci spotkaliśmy siedmioosobowy patrol wroga. Został zlikwidowany niemal bez wystrzału. Nie mogliśmy wskazać Niemcom jedynej drogi, którą następne oddziały mogły wydostać się w bezpieczną strefę. Byłem także w potyczkach o słynną szosę Wołokołamską. Kiedy przybyły wojska kadrowe z Syberii, przepędziliśmy Niemców. Widziałem wtedy bezprzykładne męstwo człowieka, ból i wycieńczenie, rozpacz i nieopisaną radość zwycięstwa.*

Spod Moskwy dostał się do Charkowa, do obsługi sztabu 6 Armii. Stamtąd skierowano go do Tombowa, do podoficerskiej szkoły czołgistów. Było tam kilkunastu Polaków. To od nich dowiedział się, że trwają właśnie zapisy do nowo organizowanej polskiej armii. W Sielcach nad Oką tworzyło się Ludowe Wojsko Polskie. Kiedy generał Anders opuszczał ZSRR, a wcześniej werbował swoich żołnierzy, pan Kazimierz bił się u boku radzieckich towarzyszy. Nie chował się za innych. Zgłaszając teraz akces do sieleckiego wojska, napotkał nieoczekiwany opór. Dawni koledzy nie chcieli go od siebie puścić. „Potrzeba nam takich ludzi" — przekonywał go dowódca.

*— Rosjanie to bardzo uczynny i wrażliwy naród — mówi pan Kazimierz. — Są otwarci i zawsze pełni serdeczności. W trudnych chwilach doznawaliśmy ogromnego wsparcia od ludności cywilnej. Pewnego razu, gdy służyłem jeszcze w Armii Czerwonej, wyciekła mi z baku benzyna. Utknąłem w polu. Kolega-szofer podciągnął mnie do pobliskiej przyfrontowej wsi. Mieszkańcy zostali z niej ewakuowani lub uciekli przed linią frontu. Pozostała tam tylko jedna staruszka. Wzięła mnie do swojej chaty i powiedziała: „Nie mogę ci dać nic do jedzenia, bo sama nie mam, ale tam, w kociołku, gotuje się woda. Mogę cię ugościć przynajmniej kąpielą". Nim naprawiono maszynę, wypluskałem się wtedy w balii za wszystkie czasy. Kiedy ponownie zostałem ranny, byłem tak osłabiony, że nie mogłem poruszać się o własnych siłach. Jeden z oficerów dzielił się ze mną swoim przydziałem konserw. Tylko dzięki temu doszedłem do zdrowia. Przed tą „kuracją" ważyłem 45 kilogramów.*

W I Armii Wojska Polskiego trafił pan Kazimierz do artylerii. Jako kierowca rozpoczął wraz z nią marsz na zachód. Przeszedł Bug, Studzianki, Warszawę, Wał Pomorski, Kołobrzeg, Berlin i doszedł aż do Łaby.

Pod Kołobrzegiem uciekło do nich kilku niemieckich żołnierzy. Jeden był doskonałym kierowcą. Resztę wojny przesłużył w polskiej armii. Dostał na to odpowiednie potwierdzenie. Tak, w najdziwniejszy sposób wiązały się losy ludzi...

Pod Warszawą zaś otrzymał pan Kazimierz najpotężniejszą żołnierską połajankę w życiu. Kiedy obstrzał unieruchomił mu samochód, wypatrzył pojazd tej samej marki nad Wisłą. Stał prawie nad samą rzeką.

*— Wybrałem się do niego po części — opowiada. — Podczołgałem się ostrożnie, a jednak Niemcy mnie wypatrzyli. Dostałem się pod taki obstrzał, że przeleżałem w dołku aż do zmierzchu. Zdobyłem jednak potrzebne części. Kiedy wróciłem do swoich, pułkownik Łosicki wezwał mnie do raportu karnego. „Samochodów mamy dosyć — powiedział — ale wychować człowieka to nie takie proste. Dziesięć dni ścisłego!" A po namyśle dodał: „W zawieszeniu". To, co powiedział mi potem, wystarczyło do końca wojny.*

Jest tych wspomnień ogromnie dużo. Wojna nie oszczędzała pana Kazimierza ani z początku, ani pod koniec żołnierskiej drogi. Pożółkły już fotografie z tamtych lat, a duża ich część trafiła do albumów synowskich i dalszej rodziny. Zatarły się w pamięci nazwiska kolegów, dowódców, towarzyszy. Pozostały odznaczenia: za Moskwę, za Stalingrad, za Zwycięstwo. Kiedy 9 maja skapitulowały Niemcy, pan Kazimierz przyjechał do Lublina. Ale nie tutaj był jeszcze koniec jego wojaczki. Brał udział w walce ze zbrojnym podziemiem, w utrwalaniu ludowej władzy. Demobilizacja objęła go w 1946 roku. Pozostał już w Lublinie, mimo propozycji przenosin w inne regiony kraju. Poczuł do miasta autentyczną sympatię. Spodobało mu się. Tutaj się ożenił, tutaj rozpoczął pracę w Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacji. W 1947 roku wstąpił do PPR, a potem do PZPR. Od 36 lat pracuje jako kierowca w Komitecie Wojewódzkim partii. Rozrosła mu się i wydorośląła rodzina (trzech synów i córka). Kiedy opowiadał dawne dzieje, dzieci słuchały go uważnie. Tylko wnuki potrafią teraz powiedzieć, że „to stare sprawy, to już przeżytek". Na dnie szuflady spoczywają podziękowania od Stalina i Roli-Żymierskiego. Był przecież żołnierzem dwóch armii, a do Polski szedł najkrótszą drogą. Życie biegnie do przodu, a wspomnienia zacierają się z każdym dniem coraz bardziej. Jedna prawda

*Kazimierz Podgorodecki — pierwszy z prawej.*

pozostaje tylko nie zmieniona, że to życie nie przeminęło gładko.

*— Moje dzieci nie mają poprzewracane w głowie. Zostały wychowane surowo, tak, jak mnie wyuczyło życie. Nigdy nie miałem z ich wychowaniem żadnych kłopotów. Zdobywają wykształcenie i szanują własną pracę. Córka kończy w tym roku podstawówkę i idzie do „ogólniaka"; najmłodszy syn będzie zdawał na politechnikę. Czasami wydaje mi się, że w obecnym życiu za mało jest już prostoty i uczciwości. Mnie życie nie rozpieszczało, ale była to właśnie najlepsza szkoła. Bieda, poniewierka i walka tworzą człowieka.*

Do odznaczeń bojowych doszły i powojenne: Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi i inne. Ale ja, rozmawiając z panem Kazimierzem, zauważyłem jeszcze coś, co mnie od razu uderzyło, a czego nie można zmierzyć dyplomami uznania, czy wstęgami orderów: spokojną, ludzką życzliwość...

---

uwolnione od wysiłku pozorowania rzeczywistości, przedstawiają na zimno, z precyzją drastyczny moment, kiedy umierając widzimy całe życie, w godzinach cierpienia rozpamiętując sprawy już nas nie dotyczące. Z mrocznej muzyki Pendereckiego wyłania się przed nami cykl scen, seria ascetycznych portretów umierania, które sprawiają nam przykrość, wzbudzają niechęć, a nawet odrazę. Bo przecież śmierć jest stanem najbardziej prywatnym i osobistym, wymagającym osobności, kiedy zostajemy zupełnie sami, zdani wyłącznie na siebie, swoją zdolność przezwyciężania cierpienia.

Oto kolejny obraz spektaklu. Uchylają się drzwi w tyle sceny. Do pokoju wchodzi aktor ubrany w czarny garnitur. Prowadzi biały, dziecinny wózek. Jedzie środkiem pokoju, staje po prawej stronie. Trzy postaci zbliżają się, pochylają nad wózkiem, wyjmują białe płótno. Odchodzą w kierunku stołu. Porządkują go. Bohater kładzie ręce na obrusie. Wstają. Niewidomy jakby coś usłyszał. Podbiega bliżej, potyka się. Wyciągnięta dłoń szuka oparcia. Napotyka na buty, materiał, twarz. Jest niespokojny. Dotyk podpowiada mu fałsz, to nie jest twarz żywego człowieka. To manekin. Palce rozpoznają opuszczone powieki, skrzywione usta. Pozostali, zdziwieni zachowaniem ślepego, stają nad nim. I oni dostrzegają błyszczące trzewiki z papieru, tani garnitur, zbielałą twarz. Podnoszą umarłego na swoje ramiona. Delikatnym krokiem ruszają za pierwszym aktorem z wózkiem. Bohater nie wytrzymuje. Obraca ku nam swoją twarz, wykrzywioną ironicznym grymasem. Jest w nim strach, żądanie pomocy. Bo oto jest jak kamień. Nieruchomy przechodzień w żałobnym korowodzie. Patrzy w oblicze manekina. Ucieka w kierunku stołu. Jeszcze jedno spojrzenie. Chce dotknąć świecy. Obraca się w kierunku gasnącego światła. Umiera...

Zapala się światło. Pokój jest pusty. Na środku leży manekin, przewrócony wózek, obrus zgnieciony butami i walizką. Wychodzimy, potykając się na schodach. Jesteśmy świadomi, że byliśmy uczestnikami niezwykłego zdarzenia.

Drogą żmudnej, laboratoryjnej pracy powstał niecodzienny spektakl. Pięciu aktorów w czarnych garniturach, uwolnionych od wysiłku odtwarzania rzeczywistości, przenosi widza w daleki plan, zaledwie naszkicowany przez reżysera. Zostawiając nam wolność wyobraźni, przedstawiają cykl monochromatycznych obrazów, nasyconych poetycką intensywnością. Z mrocznej przestrzeni, przepojonej rozedrganym światłem, z sugestywnej muzyki budzącej niepokój, z pantomimicznego ruchu i gestu tworzą seans o dużej sile oddziaływania. Widzowie, którzy dopiero co zjedli kolację, czują się nagle wytrąceni z szarej stabilizacji lub wdzięcznego błogostanu. Jest w nich sprzeciw, bunt, nawet lęk. Niewielu potrafi zdobyć się na ironię. Spektakl pozbawia ich nonszalancji, pozostawia w rozdrażnieniu, zmusza do zamyślenia.

Wydaje się, że dzięki konsekwencji reżysera, który potrafił narzucić dyscyplinę swoim aktorom, udało się przenieść na scenę najbardziej prywatne i głębokie problemy, doznania i nadzieje człowieka. Pięciu aktorów w milczeniu, za pomocą gestu, ruchu, dokonuje co wieczór, na chłodno, rozpoznania objawów naszego umierania. Są to aktorzy Teatru Pantomimy KUL.

**Waldemar Sulisz**

„Kiedy umieram": scenariusz, scenografia i reżyseria: Andrzej Piwowarczyk. Występują: Andrzej Borucki, Janusz Dybko, Krzysztof Łaszanowski, Krzysztof Lucjan, Artur Przystupa. Premiera: 24 maja 1986, Stara Aula KUL.

# Festiwal bez fanfar

**Irena Filus**

NAŁĘCZOWSKIEMU Divertimento nie towarzyszą fanfary, nie spływa nań festiwalowy splendor i to jest najcenniejsze, co udało się dyrektorowi Natankowi zachować. Przez piętnaście lat wszystko odbywa się w zaskakująco konsekwentny sposób. O godzinach: czternastej i piętnastej podjeżdża pod Lubelską Filharmonię nysa z napisem: Uzdrowisko Nałęczów i zabiera chętnych na przejażdżkę aleją lipową, jedną z najpiękniejszych, ale i najniebezpieczniejszych dróg w Polsce, prosto w objęcia Polihymnii. Przed szesnastą cały nałęczowski park ożywia się trochę i zaludnia zdążającymi do Pałacu Małachowskich kuracjuszami. Nikt się nie śpieszy, nikt nie mówi podniesionym głosem. Atmosfera tego miejsca, specyficzny mikroklimat, wnętrze Sali Balowej nakazują szacunek, również i dla muzyki.

Aż się nie chce wierzyć, że upłynęło już tyle lat. Tu, w Nałęczowie, podczas Divertimento czas jakby staje w miejscu. Artyści są ciągle młodzi, kuracjusze ciągle chorzy na serce, a organizatorzy ciągle pełni energii. W tym roku zabrakło wprawdzie podczas inauguracji dyrektora Natanka, który zamienił Nałęczów na Czechosłowację, ale były za to wspaniałe torty upieczone przez panią Ewelinę. Osłodziła nam tę nieobecność. Gorzką nieobecnością, jak się niektórym wydawało, stał się brak Henryka Czyża i jego jednoaktowej opery „Kynolog w rozterce". Szkoda, że lubelska telewizja tego nie zauważyła, w każdym razie bez zająkięcia podała informację o zakończeniu imprezy w piątek, właśnie „Kynologiem w rozterce".

Tymczasem Divertimento trwało jeden dzień krócej. Lecz nie rozczarowało. Trudno byłoby mówić o koncertach lepszych i gorszych. Natomiast zdecydowanie można ustalić trzy rodzaje prezentowanych programów. Zacznijmy od poetyckich. Pierwszy, poświęcony twórczości Chopina, melomani mieli okazję już oglądać w Lublinie podczas któregoś z wieczorów w Filharmonii. Jest to montaż słowno-muzyczny, zatytułowany „I była w tym Polska", pod redakcją Barbary Wachowicz, z udziałem śpiewaków: Bogny Sokorskiej i Kazimierza Sergieja, pianistów: Wojciecha Kocyana i Jerzego Sokorskiego oraz narratora Andrzeja Matuła. Nie sposób oceniać wartości muzycznej programu, bo wiadomo, jakie pieśni czy utwory fortepianowe napisał Chopin. Warto natomiast wspomnieć o tym, że był on także... literatem. I to znakomitym, o czym można się przekonać, czytając jego listy słane z Paryża do kraju, do rodziców, przyjaciół. Chciałabym wyeksponować Chopina, bo to on był bohaterem wieczoru. Tymczasem Barbara Wachowicz jakby chwilami zdawała się o tym zapominać, rzucając na siebie zbyt pełne światło.

Natomiast zdecydowanie zaskakującym i w pełni udanym spektaklem był „Wieczór w Teatrze Wielkim". Nikt właściwie nie wiedział, co to będzie. Wszyscy szli oglądać Annę Seniuk z bliska. A przy okazji okazało się, że odkryła ona przed publicznością urok poezji Stanisława Balińskiego, trudno dostępnej, bo tylko w jednym małym powojennym tomiku wydanej, a na dodatek tak bardzo muzycznej, że można ją było deklamować jedynie tutaj, na Divertimento. Jest w tej poezji smak i zapach tamtych czasów, kiedy przedwojenna Warszawa zdążała do Teatru Wielkiego na spektakl. Atmosfera jakże odmienna od dzisiejszej, choć właśnie w Nałęczowie została coś z tamtego nastroju. Jeśli dodamy do słów improwizacje muzyczne Szabolcsa Eszenyi, można ocenić całość jako rzecz nadzwyczaj udaną i oryginalną.

Innych rodzajów przeżyć dostarczyli słuchaczom Krystyna Szostek-Radkowa i Paulos Raptis. Wszyscy wiedzieli, czego mogą się spodziewać po renomowanych głosach oraz programach, w których znalazły się pieśni i arie kompozytorów polskich i obcych. No i przede wszystkim, jak zwykle u Raptisa, pieśni greckie, prawdziwy majstersztyk wykonawczy. Przy okazji tych wokalnych recitali chciałabym zwrócić uwagę na rzecz, która jest dość istotna, a o której ciągle jeszcze zdajemy się zapominać. Szostek-Radkowej akompaniował uznany pianista Maciej Paderewski. Tak idealnego współgrania fortepianu ze śpiewem i tekstem nie słyszy się zbyt często. Paderewski jest jednocześnie pedagogiem, kierownikiem Katedry Kameralistyki i Akompaniamentu, i ta ostatnia dziedzina leży mu szczególnie na sercu. Zapytany o tajemnicę sukcesu akompaniatora, odpowiedział, że zna wszystkie utwory wokalne na pamięć. Podczas gry śpiewa również, bezgłośnie poruszając ustami. Ale nie tylko idealna znajomość utworu warunkuje powodzenie. Śpiewacy operowi są, jak wiadomo, dosyć kapryśni. Należy więc wiedzieć, jak z nimi postępować, jak o nich zabiegać. I to wszystko składa się na sztukę akompaniowania.

Przejdźmy do małej kameralistyki. Krzysztof Jakowicz jest na Divertimento częstym gościem. Do tej pory jeszcze pamiętają wszyscy jego „Przeboje salonów muzycznych", prezentowane także w Nałęczowie z wielkim powodzeniem. Tym razem Jakowicz przywiózł swoją rodzinę, niepełną wprawdzie, bo bez synka, ale za to skrzypcową. Jego żona, Julia Jakimowicz, to znana od dawna wiolinistka. Natomiast jedenastoletnia Ewa ma szansę nią dopiero być. Nie był to wieczór udany muzycznie, bo jednak rodzice musieli jeszcze dostosowywać się do umiejętności dziecka, natomiast familijna atmosfera znakomicie niedostatki rekompensowała. Bardzo popisało się Trio Lubelskie w składzie: Ewa Szułowicz — flet, Jerzy Muranty — wiolonczela, Wiesława Gąsowska — fortepian. Tym większe należą im się brawa, że grali po nieprzespanej nocy, gdyż właśnie wrócili z orkiestrą z Czechosłowacji. Wreszcie i Lublin doczekał się zespołu kameralnego z prawdziwego zdarzenia.

Skończył się maj. Na następne Divertimento przyjdzie nam czekać rok cały, choć przecież dalsze koncerty odbywające się w Sali Balowej są naturalnym przedłużeniem imprezy, która właściwie się nie kończy. Ludzie w Nałęczowie ciągle łakną muzyki, a muzyka nadzwyczaj dobrze czuje się wśród nich. Może dlatego zawsze jest najwyższego gatunku.

# „Jestem aktorką dramatyczną..."

## Rozmowa z Anną Seniuk

— „Wieczór w Teatrze Wielkim" przyciągnął publiczność z powodu pani nazwiska. Autor poematu, Stanisław Baliński, jest mniej znany. Pomówmy więc najpierw o nim.

— Przyznam, że ja również nic o Balińskim nie słyszałam przez długi czas. Należę do kalekiego pokolenia, które ma luki w literackim wykształceniu. Już pracując, dowiedziałam się, że był taki emigracyjny poeta, który pisał wspaniałe wiersze. Rzeczywiście, gdy przeczytałam przez przypadek nabyty tomik, także się zachwyciłam. Marzyło mi się, by Balińskiego propagować. I właśnie, kiedy byłam w aurze jego poezji, zadzwonił Bogusław Kaczyński z propozycją wystąpienia w Łańcucie, w wieczorze aktorskim. Przyszedł mi do głowy jeden z poematów Balińskiego, „Wieczór w Teatrze Wielkim", nastrojowy, pełen tęsknoty do atmosfery przedwojennej Warszawy.

— A skąd się wziął pan Łsztenyi?

— Został również zaproszony do Łańcuta, więc postanowiliśmy połączyć nasze siły. Szabolcs posłuchał poematu w mojej interpretacji i dołączył swoje improwizacje. Odtąd nie rozstajemy się... jeśli chodzi o Balińskiego.

— Ale ten poemat wykonywany jest chyba dosyć rzadko?

— Tak, od pierwszego spektaklu w Łańcucie minęły trzy lata, a był wystawiony może cztery, pięć razy. Między innymi w Łodzi, gdzie bardzo zabawnie zaanonsowany został na afiszu: „Wieczór w Teatrze Wielkim" w Teatrze Wielkim. Wymaga on specyficznej publiki, przynajmniej musi być prezentowany dla takiej, która się na muzyce trochę zna i kojarzy wiele nazwisk śpiewaków i śpiewaczek. Sporo pań oglądających spektakl pamięta jeszcze nazwiska Szymanowskiej, Ady Sari, podchodzą potem do mnie wzruszone.

— Wobec tak udanej próby, czy myśli pani o czymś podobnym?

— Penetrując antykwariaty, odkryłam liryki Brzechwy. W jednym z wierszy bardzo dowcipnie tłumaczy się, dlaczego pisze dla dzieci, a raczej dla matek tych dzieci, cudownych młodych kobiet, bo tak jak przez żołądek trafia się do serca mężczyzny, tak do mam trafia się przez dzieci. Nie wiem jeszcze, jak to będzie, ale czekam na jakąś okazję, która mnie zmobilizuje, tak jak Łańcut na przykład, bo Brzechwie też się coś należy. Choć muszę przyznać, że nigdy dotąd nie występowałam w teatrze jednego aktora i nie robiłam monodramów, bo nigdy mnie to nie pociągało.

— A co pania pociąga najbardziej?

— Teatr. Jestem aktorką dramatyczną, zdobyłam takie wykształcenie. Wywodzę się z teatru i teatr jest dla mnie sztuką największej wagi. W tej chwili pracuję w Teatrze Polskim u Kazimierza Dejmka. Gram rolę w „Żywocie Józefa" M. Reja (w scenografii nieżyjącego już Stopki) oraz w Teatrze „Prezentacje" „Łysą śpiewaczkę" Ionesco, a także w sztuce Dürrenmatta „Play Strindberg".

— Czyli repertuar niezwykle różnorodny. Ciekawa jestem, czy jeszcze kojarzy się pani z „Czterdziestolatkiem"?

— Niestety, ale to nie ode mnie zależy. Serial był nakręcony dziesięć lat temu. Potem się za siebie zabrałam i postanowiłam grać zupełnie inne rzeczy. Oczywiście, natychmiast posypały się propozycje bardzo podobne do roli w „Czterdziestolatku". Jedyne, co mogłam zrobić, to ich nie przyjąć, żeby nie dać się zaszufladkować. Dosyć długo czekałam na coś innego. Wreszcie zagrałam filmową rolę w „Bilecie powrotnym", potem Wajda zaproponował mi „Panny z Wilka", w końcu „Konopielka". W ten sposób odeszłam od „Czterdziestolatka". I cóż? Cała moja praca poszła na marne, ponieważ po kilku latach telewizja wznowiła serial. Między innymi dlatego zrobiłam Balińskiego.

— Opracowała pani Balińskiego, współpracowała przy wystawieniu „Pchły szachrajki" według Brzechwy w Teatrze Powszechnym. Czy to przymiarki do reżyserii?

— Kobiety nie sprawdzają się w tym zawodzie. No, oczywiście są wyjątki. Ja na pewno byłabym reżyserem średnim, a przyznam szczerze, taka rola mi nie odpowiada. Jako aktorka jestem przypisana do teatru, mam regularne próby i spektakle, mogę się poświęcić organizacji domu, co zajmuje mi najwięcej czasu i jest dość trudne przy dwojgu (5 i 11 lat) dzieciach i tego rodzaju pracy.

— Mąż pani wykonuje podobny zawód?

— Na szczęście tak. Może nawet bardziej twórczy, bo jest kompozytorem. Muzyka w naszym domu dominuje, a nam te dwa zawody pomagają w porozumieniu się, tolerowaniu własnych stresów. Trudno bowiem komuś, kto nigdy nie wystąpił, nie koncertował, zrozumieć, ile mobilizacji kosztuje zagranie nawet błahego epizodu i że później przychodzi zmęczenie psychiczne i fizyczne.

— Niewiele pani podróżuje, gra najwięcej w teatrze. Czy nie chciałaby pani ponowić próby całkowitego odżegnania się od „Czterdziestolatka"?

— Chciałabym zagrać w jakimś dobrym filmie, bo od czasu nakręcenia „Konopielki" minęło pięć lat, a do tej pory nie otrzymałam żadnej interesującej propozycji. Ale nie niecierpliwię się. W końcu na te trzy filmy, o których mówiłam, również czekałam kilkanaście lat. Zresztą plan filmowy trochę mnie męczy.

— Zawsze myślałam, że pozostawienie po sobie jakiegoś śladu, chociażby na taśmie, daje dużo satysfakcji.

— Więcej znaczy zapisanie się w ludzkiej wyobraźni.

— Ale wyobraźnia umiera razem z człowiekiem, a taśma zostaje...

— Tak naprawdę pamięta się jedynie o obrazie idealnym. A ja zawsze mam świadomość niedoskonałości. Widzę je i mogłabym poprawić, ale jest już za późno.

— I nigdy nie miała pani uczucia zupełnego zadowolenia z siebie?

— Owszem, raz, ale nie zupełnego, może tylko zbliżonego do ideału. Było to w przypadku „Pchły szachrajki". Tego się jakby najmniej wstydzę, jeśli chodzi o jakość tekstu i wykonania. Tak się zdarzyło, że spotkaliśmy się: Brzechwa, ja i reżyser Wojtyszko. I wszyscy chyba mieliśmy satysfakcję.

Rozmawiała: I. F.

## Ekran i widz

# Tajemnica grot Maravaru

KULMINACYJNYM momentem filmu angielskiego reżysera Davida Leana „Podróż do Indii" jest scena, w której młoda Angielka, narzeczona sędziego Heaslopa w Chandpore w Indiach, odwołuje podczas toczącego się tam procesu przeciwko tubylcowi, hinduskiemu lekarzowi dr. Azizowi, swoje poprzednie zeznania, iż usiłował on ją zgwałcić w niedalekich, słynnych, tajemniczych grotach Maravaru podczas turystycznej wyprawy. Rzecz dzieje się w pierwszej połowie lat dwudziestych, w czasach, gdy Anglicy są jeszcze niepodzielnymi panami Imperium Brytyjskiego, i kiedy tego rodzaju akt przemocy wobec „białej" obywatelki owego imperium ze strony „ciemnoskórego" — choćby nawet najbardziej wykształconego i kulturalnego — grozi najwyższym wymiarem kary.

Co się zdarzyło w grotach Maravaru? Czy istotnie była próba gwałtu, czy też narodziła się w bujnej imaginacji bohaterki opowieści? Czy też może panna Adela Quested ulitowała się w ostatniej chwili nad swym prześladowcą, wiedząc, jaki czeka go wyrok? A może chciała w ten sposób rzucić swoiste wyzwanie całej miejscowej kolonialnej brytyjskiej społeczności, której metod postępowania w tym kraju nie mogła — ona, świeżo przybyła z Wysp — zaakceptować? Na te wszystkie pytania film Leana nie daje odpowiedzi, pozostawiając wyjaśnienie zagadki grot Maravaru — widzowi...

W tle „sensacyjnego" wątku „Podróży do Indii" można doszukać się także głębszej metafory czy też autorskiego przesłania: ciemne, rozbrzmiewające niesamowitymi pogłosami i echami, wprowadzające człowieka w stan dziwnego oszołomienia, atakujące jego jaźń, groty Maravaru — to Indie, kraj niezrozumiały, niepojęty dla osób z kręgu innej kultury, charakteryzującej się inną mentalnością. Wydaje się to rozumieć jedynie wiekowa pani Moore, matka sędziego Heaslopa, się w tym filmie przede wszystkim towarzyszka Adeli w tej niezwykłej podróży z Wysp Brytyjskich do kolonialnych Indii.

Istnieje wreszcie w filmie Davida Leana bardzo mocno rysujący się wątek polityczny, ukazujący mechanizmy budzenia się świadomości narodowej Hindusów, już wówczas coraz mocniej grupujących się wokół postaci Mahatmy Gandhiego, oraz ich walkę o wyzwolenie kraju spod panowania Anglików. Warto tutaj dodać, że książka angielskiego pisarza Edwarda Morgana Forstera „Droga do Indii", według której nakręcono film Leana, ukazała się w roku 1924, kiedy głośno było na świecie o procesie Anglików, którzy wydali rozkaz masakry Hindusów w Amrisarze, gdzie zginęły setki bezbronnych ludzi. Sceny tej masakry dobrze pamiętamy z wyświetlanego w ubiegłym roku na polskich ekranach głośnego filmu Richarda Attenborougha — „Gandhi".

„Gandhi" był pierwszym z oglądanych przez nas angielskich filmów o tematyce „indyjskiej", które można by określić mianem cyklu rozliczeniowego, a które powstały w latach 1982—1985. Ale głębiej w istotę ówczesnych stosunków angielsko-hinduskich wnikał emitowany jeszcze niedawno (tym na naszych ekranach telewizyjnych 14-odcinkowy serial TV BBC Granada — „Klejnot w koronie", nakręcony w 1982—83 r. przez Christophera Morahana i Jima O'Brienna według cyklu powieściowego pisarza brytyjskiego Paula Scotta „Raj Quartet" („Kwartet Radży").

„Podróż do Indii" Davida Leana („Passage to India"; powinno się chyba raczej tłumaczyć ów tytuł jako „przeprawa", zgodniejszy ze znaczeniem angielskiego słowa „passage" i, co więcej, bardziej adekwatny do treści oraz przesłania filmu, którego bohaterowie stają przed dylematem poznawalności lub niepoznawalności Indii, a nie turystyczną podróżą), film powstały w dwa lata po „Klejnocie w koronie", jest jakby „poprzednią częścią" tego ostatniego. Akcja „Podróży" toczy się w latach dwudziestych, akcja „Klejnotu" w latach czterdziestych obecnego wieku. W „Podróży do Indii" spotykamy aktorów, którzy doskonale wryli się w pamięć jako bohaterowie „Klejnotu w koronie": m. in. hinduski aktor Art Malik (Hari Kumar z „Klejnotu") gra tutaj młodego, miejscowego adwokata, walczącego o prawa dla swoich współziomków; postać towarzyszki Adeli, Mrs. Moore, odtwarza doskonała angielska aktorka Peggy Ashcroft, niezapomniana emerytowana nauczycielka Barbie z „Klejnotu w koronie"...

Patrząc na te wszystkie filmy, oceniając je w „aspekcie" politycznym, a także poznawczym, nie zapominajmy, że dla samych Anglików są one również dziełami rozliczeniowymi wobec własnej, niegdysiejszej polityki w stosunku do krajów podbitych. A także dla części społeczeństwa, która pamięta dawne czasy Imperium, swoistym — rzeczywiste, choć bolesnym zarazem — przypomnieniem „wspaniałych dni". Na Wyspach żyje jeszcze wielu dawnych kapitanów Merrick, wiele dawnych Daphne, dawnych Adel i dawnych Sar. I każda z tych osób ogląda na ekranie lata chwały i upadku Imperium poprzez swój własny pryzmat.

M. D.

## Dawnych wspomnień czar

# W tonie błękitu i czerni

*Niebiesko-Czarni w najsłynniejszym składzie*

POMYSŁ jest przedni i aż dziw bierze, że wykorzystano go dopiero teraz. Mniej więcej w połowie lipca odbędzie się w sopockiej Operze Leśnej niecodzienna impreza zatytułowana „Old Rock Meeting", czyli Srebrne Wesele Polskiego Rocka. Wezmą w niej udział muzycy-legendy, a także ci, którzy zdołali przetrwać różne mody i dziś dalej występują na scenie. Zapowiada się rzadka gratka dla fanów: w jednym miejscu i czasie spotkają ludzi, którzy tworzyli historię rodzimej rozrywki.

Jedną z grup, jaka na tę okazję ma być specjalnie reaktywowana, łączono przez długie lata z działalnością pary wyśmienitych solistów (prywatnie małżonków) — Adrianny Rusowicz i Wojciecha Kordy. Ale Niebiesko-Czarni, bo o nich przecież mowa, mieli o wiele więcej wokalistów. Dość powiedzieć, iż w N-C śpiewali: Michaj Burano, Helena Majdaniec, Czesław Niemen, Piotr Janczerski, Marek Szczepkowski i Bernard Dornowski. Dopiero później zastąpił ich słynny wychowanek Poznańskich Słowików, Wojtek Kędziora, bardziej znany jako Korda.

Niebiesko-Czarni wnieśli do polskiej muzyki rozrywkowej o wiele cenniejszy wkład niż jakakolwiek inna grupa. Pierwsi oparli swój skład instrumentalny na gitarach elektrycznych i pierwsi wprowadzili do nagrań brzmienie organów elektrycznych. Na tle dzisiejszych, syntezatorowych prób, brzmi to niczym żart, ale fakty są niepodważalne. Niebiesko-Czarni rzucili pamiętne hasło: „Polska młodzież śpiewa po polsku", sięgając do bogatej skarbnicy polskiego folkloru. Z tego okresu pochodzi słynny „Ondraszek". Później też dla wielu nastolatków byli rodzajem muzycznej wyroczni.

Nie bez powodu nazywano zespół ambasadorem polskiego big-beatu (tak kiedyś określano muzykę rockową). Członkowie Niebiesko-Czarnych zwiedzili niemal całą Europę, znaczne obszary Związku Radzieckiego, a także USA i Kanadę. Im przypadł w udziale pierwszy występ polskich beatowców w sali paryskiej „Olimpii"! Śpiewali tam w 1963 roku obok Dionne Warwick i Steyle Wondera. We Francji jesienią 1966 roku grupa odniosła największy sukces, zdobywając na Festiwalu Variete w Rennes trzy główne nagrody ze Srebrnym Gronostajem na czele. W trzy dni później w Paryżu powtórzyła wyczyn i zwyciężyła w turnieju zespołów rhythm and bluesowych. Wiadomość o sukcesie zaskoczyła nad Wisłą nie tylko młodych entuzjastów muzyki.

5 tysięcy koncertów w różnych punktach globu i 40 płyt (w tym 6 longplayów) to plon prawie 15-letniego okresu prosperity zespołu. Pierwszy koncert Niebiesko-Czarnych odbył się 24 marca 1962 roku w gdańskim klubie studenckim „Żak", zaś ostatni 30 czerwca 1978 roku we Lwowie. Z prostej, beatowej formacji, nie stroniącej nawet od twista, przekształcili się Niebiesko-Czarni w perfekcyjny technicznie zespół o ambicjach awangardowych, przecierający szlaki ambitnym przedsięwzięciom scenicznym. Jednym z nich była udana rock-opera „Naga", wystawiona w kwietniu 1973 roku na scenie Teatru Muzycznego w Gdyni. Opera, wypełniona zróżnicowaną stylistycznie i brzmieniowo muzyką, przyniosła instrumentalistom spory rozgłos, zdyskontowany później powodzeniem płyt „Naga 1" i „Naga 2". Stanowiły one w dyskografii grupy znaczący punkt, który, jak się okazało, zamknął ostatni rozdział jej kariery. Wcześniej furorę wśród nastolatków robiły krążki: „Niebiesko-Czarni", „Alarm", „Mamy dla Was kwiaty" i „Twarze". Każdy z nich był wyrazem manifestu artystycznego i praktyczną wskazówką jak grać, podchwytywaną natychmiast przez dziesiątki, ba nawet setki amatorskich zespołów, zabiegających na różnych przeglądach o status profesjonalów.

Dziś po latach emocji N-C mają znacznie więcej czasu na kontemplację i życie osobiste. Ada zrezygnowała z czynnego udzielania się na estradzie i wypełnia czas wychowywaniem potomostwa. Natomiast jej mąż śpiewa nadal, tyle że w norweskich dyskotekach i lokalach rozrywkowych. Pozostali muzycy N-C rozpierzchli się gdzieś po świecie, lecz nie zerwali związków z wybranym kiedyś zawodem. Teraz będą mieli okazję spotkać się ponownie razem i zagrać jak za starych, dobrych czasów.

Wiadomo już, że w jubileuszowej fecie wezmą udział dawni soliści Niebiesko-Czarnych razem z Michajem Burano, odnalezionym po długich poszukiwaniach w Szwecji. Zapowiada się pyszna zabawa. Myślę, że o jej efektach będzie wkrótce głośno.

**Istvan Grabowski**

# Nagrody im. Bolesława Prusa

Zarząd Lubelskiego Oddziału ZLP przyznał nagrody im. Bolesława Prusa.

Nagrodę I stopnia otrzymała **Elżbieta Cichla-Czarniawska** za wydaną w „Iskrach" powieść pt. „Wiosna, Emilio!".

Nagrody II stopnia przyznano: **Adamowi Kulikowi** za powieść „Lot", która ukazała się w „Czytelniku", **Andrzejowi Łuczeńczykowi** za zbiór opowiadań „Kiedy otwierają się drzwi" („Iskry") oraz **Bogusławowi Wróblewskiemu** za szkice krytyczne pt. „Wydziedziczenie i kompleksy" (Wydawnictwo Lubelskie).

Dwaj autorzy Wydawnictwa Lubelskiego uzyskali nagrody III stopnia za swoje powieści dla młodzieży. **Apolinary Nosalski** za „Słońce nad basztą", a **Wiktor Zawada** (właściwie: **Witold Welcz**) za „Globus i pałkę".

# KONKURSY

● Dla upamiętnienia 75 rocznicy powstania Teatru Polskiego w Warszawie Wydział Kultury i Sztuki Urzędu m.st. Warszawy, Stowarzyszenie Autorów ZAIKS oraz Teatr Polski ogłaszają dwustopniowy konkurs na napisanie i wystawienie utworu scenicznego. W konkursie zamkniętym uczestniczą osoby zaproszone przez organizatorów, natomiast w otwartym — każdy autor polski zamieszkały w kraju lub za granicą. Przedmiotem konkursu jest pełnospektaklowy utwór sceniczny. I nagroda w konkursie otwartym — 150 tys., ponadto inne nagrody.

Drugi etap konkursu dotyczy wystawienia utworu scenicznego nagrodzonego lub wyróżnionego. Mogą w nim uczestniczyć teatry polskie i zagraniczne.

Utwory zgłoszone na konkurs należy nadsyłać do 30 września 1987 r. pod adresem: Teatr Polski, ul. Karasia 2, 00-327 Warszawa z dopiskiem na kopercie „Konkurs dramaturgiczny" (Dalsze szczegóły — w sekretariacie Teatru Polskiego).

● Redakcja łomżyńskich „Kontaktów" ogłasza III edycję konkursu o Nagrodę i Medal Zygmunta Glogera. Chodzi o uhonorowanie wybitnych osiągnięć w dziedzinach: etnografia, archeologia, historia piśmiennictwa, kultury materialnej, językoznawstwa, muzyka, plastyka i literatura. Kandydatów może praktycznie zgłosić każdy. Należy zaprezentować sylwetki i dorobek autora, załączyć jego prace z ostatnich trzech lat. Nagroda — 50 tys. zł. (Szczegóły: red. „Kontaktów", ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża, tel. 49-22).

● W Kielcach — konkurs poetycki „O Świętokrzyską Lirę Poezji". Mogą uczestniczyć autorzy nie zrzeszeni w ZLP. I nagroda — 15 tys. zł. Wiersze należy nadsyłać pod adresem: Komisja Kultury ZW ZSMP ul. Staszica 1, 25-008 Kielce — do 15 lipca. (Szczegóły — tamże).

● W Chełmku — Ogólnopolski Konkurs literacki „Złotego trzewiczka" na utwory o tematyce satyrycznej. Dwie kategorie: utwory poetyckie i prozatorskie. Prace należy nadsyłać w trzech egzemplarzach i podpisywać je godłem. W osobnej kopercie — nazwisko i adres autora. Utwory (zestawy) nie powinny przekraczać w kategorii poetyckiej 3 stron maszynopisu, a w prozatorskiej — 4,5 strony maszynopisu od jednego autora. W konkursie mogą uczestniczyć wyłącznie autorzy nie należący do ZLP oraz nie traktujący swej twórczości zawodowo. Łączna suma nagród — 45 tys. zł. Termin nadsyłania prac: 15 sierpnia br. Adres: „Echo Chełmka", Plac Kilińskiego 1, 32-580 Chełmek (z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki").

● Klub Młodego Dziennikarza ZMW zaprasza w poczet członków Klubu wszystkich dziennikarzy-amatorów. Przewiduje comiesięczne spotkania warsztatowe. Warunkiem przyjęcia jest nadesłanie przynajmniej jednego tekstu pod adresem: Krajowa Rada Akademicka ZMW, ul. Nowy Świat 18/20, 00-920 Warszawa.

# Biesiada, jakiej nie było!

WIDZIAŁ kto, aby publiczność i goście, którzy tego dnia tłumnie do Siostrzytowa przybyli, skakać mieli przez powrósło, co go najurodziwsi z urodziwych w poprzek szosy przeciągnęli? No, a potem jeszcze ten pękaty gliniak, który nie sposób było okpić cienko dzwoniącą monetą? Już wiejskie rogatki z kapelą i beczkowym piwem zapowiadały niecodzienne w tej okolicy atrakcje. Otóż w Siostrzytowie, gmina Trawniki, odbywała się niedawno I Wojewódzka Biesiada Tradycyjnego Tańca Ludowego. Nie konkurs, nie festiwal, ani przegląd, ale biesiada właśnie. I wszystkie te wstępne niespodzianki miały swoje, nie tylko regulaminowe, lecz głęboko tradycyjne uzasadnienie.

O cóż więc chodziło w tej — a w przyszłości i następnych — imprezie? O to, by poprzez przypomnienie, rekonstrukcję i popularyzację chronić dawne, autentyczne jeszcze tańce ludowe na Lubelszczyźnie i związane z nimi tradycje, obrzędy, zwyczaje, także stroje taneczne i dobór tradycyjnych, regionalnych instrumentów.

Nowym elementem tego przedsięwzięcia było usadowienie go w naturalnym, rzec można, środowisku wiejskim i stworzenie spontanicznej i wspólnej zabawy.

Dyskretnym — aczkolwiek ściśle obowiązującym — stawał się regulamin imprezy, który do uczestnictwa w Biesiadzie dopuszczał jedynie autentycznych tancerzy wiejskich, grupy taneczne, śpiewacze i obrzędowe oraz te zespoły folklorystyczne z województwa lubelskiego, które kultywują tradycyjne tańce ludowe, nie zaś ich dowolną estradową interpretację. Podobny wymóg dotyczył również strojów i instrumentów.

Kogo więc i za co na siostrzytowskiej estradzie w podworskim parku podziwiano? Przede wszystkim jednych z gospodarzy i organizatorów Biesiady — Zespół Folklorystyczny „Świt" z Siostrzytowa właśnie, z tamtejszego Wiejskiego Domu Kultury, i najmłodszych kontynuatorów 25-letniej tradycji zespołu — siostrzytowskie „Słoneczko". Już trzecie pokolenie chodzi tu i śpiewa z herodami, po pierzakach, kiszeniu kapusty, pieczeniu chleba. Z sentymentem więc, jak na założycielkę „Świtu" przystało, mogła oglądać tegoroczne popisy tancerzy pani Emila Krzykała, miejscowa niegdyś nauczycielka, działaczka kultury. Z zadowoleniem również — prowadzący obecnie zespół pan Ryszard Ecker, kierownik Wiejskiego Domu Kultury i nauczyciel w siostrzytowskiej szkole.

Zespół „Świt" zaprezentował weselne tańce i zwyczaje oparte na dawnej, lokalnej tradycji. W lubelskich polkach zaś niezrównany okazał się pan Czesław Pięta z Siostrzytowa, podobnie jak tancerze z Wiejskiego Zespołu Teatralnego z Niedźwiady koło Lubartowa (od pani Aliny Zubkowicz, która niegdyś chodziła z ojcem-skrzypkiem po wiejskich weselach).

Dziecięcy zespół z Wilczopola, gmina Głusk, we wdzięcznych „wyliczankach" i zabawach przypomniał to, czego już ani miejskie, ani wiejskie dzieci nie tańczą.

Od rana do wieczora krzesały też hołubce pary taneczne z Prawiednik i Wojciechowa. A młodzi instruktorzy tańca ludowego, bo też i przy okazji odbywało się dla nich stosowne seminarium, patrzyli, pytali, zapisywali. A jeśli chcieli przetańczyć mniej znane układy, na przykład oberka w szafliku, polki trzęsionki czy „wałacha", musieli prosić starszych mistrzów, a kapelę — bodaj symbolicznie — opłacić. Jak zwyczaj, to zwyczaj!

W kapeli siostrzytowskiej osobliwością swego rodzaju był bęben, tzw. ręczny, wykonany przez pana Zielińskiego, według jemu tylko znanego sposobu. W województwie lubelskim jest już tylko dwóch mistrzów, którzy takie bębny robić umieją.

Kapela z Wojciechowa, która od lat grywa na typowo lubelskich instrumentach, a więc — polskiej harmonii, bębnie, pauzonie i skrzypcach razno cięła oberki, z których jeden, ten spod wieży, oczywiście ariańskiej — stał się „hitem" Biesiady. To cieszyło, ale smucił fakt, że następców tego znakomitego zespołu jakoś w Wojciechowie nie widać.

No, ale co w końcu stało się z tym pękatym dzbankiem, do którego sypało się powitalne grosiwo?

I tutaj siostrzytowianie wykazali nie lada pomysłunek, by zawartość glinta przeznaczyć na renowację podworskiego parku. Bo w Siostrzytowie, nie gdzie indziej, co już postanowione, odbywać się będą następne biesiady!

Wieś Siostrzytów zresztą ma na swoim społecznym koncie czynów — wybudowaną drogę, remizę, szkołę i sklep. No i „Świt" ze „Słoneczkiem". I dlatego pewnie sołtysa zanim nadciągnęli pierwsi goście od Lublina i okolic, rozpędzał znad Siostrzytowa deszczowe chmury... Dopisało więc wszystko: władze, goście, uczestnicy i konferansjerzy (Ryszarda Todys i Andrzej Kuźma), pogoda i publiczność, a Koło Gospodyń Wiejskich sprawiło się z regionalnymi przysmakami.

I Biesiada Tradycyjnego Tańca Ludowego to jednakże wynik wieloletnich poszukiwań i pracy Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie. Nie sposób tutaj nie wymienić osoby pani Ryszardy Todys, głównej „sprawczyni" przedsięwzięcia, jak również etnografów z Muzeum Wsi Lubelskiej i innych placówek naukowych i kulturalnych.

Przy organizacji imprezy współdziałali, prócz wymienionych gospodarzy i zespołu z Siostrzytowa, także i władze gminne, Zarząd Wojewódzki ZMW oraz Ośrodek Kultury Wsi „Scena Ludowa".

Zarysowała się też wcale konkretna współpraca z rzemiosłem lubelskim, m.in. z Wielobranżową Spółdzielnią Rzemieślniczą w Lublinie. Myśli się o podobnych imprezach, które kultywowałyby lubelskie tradycje rzemieślnicze.

Takiej Biesiady, jak w Siostrzytowie, jeszcze nie było!

**(dey)**

**Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski**

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Maria Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator), Lidia Wójcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 16—18.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 333-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 3/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 253-53, sekretarz redakcji 218-53, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1218. 1986-06-11 F-4.

## Mexico '86

# Cudu nie było

**Wiesław Horabik**

JEDEN z wybitnych fachowców powiedział przed Mundialem, że im dalej zajdzie w mistrzostwach drużyna Belgii, tym mistrzostwa będą słabsze. Sądzę, że życie zweryfikowało trochę tę uszczypliwość, gdyż Belgowie dopracowali się wreszcie drużyny na wysokim poziomie. Choć w chwili, gdy piszę te słowa, nie wszystkie karty zostały już rozdane, można na pewno pokusić się o, w miarę pełną, ocenę turnieju Mexico'86. Wypada ją jednak zacząć od występu polskiej jedenastki.

Nie ulega wątpliwości, że w Meksyku sukcesu nie było, i niech nie zwiodą pod tym względem nikogo dziwnie kokieteryjne wypowiedzi naszych piłkarzy i szkoleniowców.

To fakt, że miejsce w szesnastce najlepszych na świecie coś znaczy, ale przy ogromie współczesnego świata nawet piętdziesiąta pozycja nie jest zła. Zakwalifikowanie się do drugiej rundy turnieju może być powodem do dumy dla Maroka, lecz nie dla dwukrotnych medalistów mistrzostw. Słowem, i nie oszukujmy się, doznaliśmy w Meksyku niepowodzenia. Jego przyczyn, jak to zwykle bywa, należy szukać niejednostronnie i wielotorowo. Wnikliwa analiza należeć będzie do fachowców i Polskiego Związku Piłki Nożnej. Pewne rzeczy są już jednak oczywiste. Gdzieś w przygotowaniach popełniono błąd, który zaowocował takim, a nie innym występem Polaków.

Naszej drużynie brakowało szybkości i świeżości. W trakcie przygotowań została ona, mówiąc językiem piłkarskim, „zarżnięta". Obawa przed trudami turnieju była chyba zbyt wielka; w niewłaściwy sposób rozkładając akcenty i przeciążając piłkarzy treningiem wytrzymałościowym, zabito w nich lekkość i dobrą dyspozycję fizyczną. Stan ten obciąża konto trenera Piechniczka i współpracujących z nim ludzi.

Drużynie polskiej brakowało także boiskowego lidera. Zbigniew Boniek jeśli był nie kwestionowanym przywódcą piłkarzy, to chyba poza boiskiem. Na boisku liderem może być tylko środkowy pomocnik mający pełne rozeznanie sytuacji i umiejący celnie rodzielać piłki wśród kolegów. Takiego właśnie zawodnika zabrakło w Meksyku. (Jaka szkoda, że zatracił wysoką formę Andrzej Buncoll) Młodzi pomocnicy: Urban i Dziekanowski, choć bardzo się starali, nie dorośli jeszcze do spełniania takiej funkcji w drużynie i, jak słusznie stwierdził trener Kostka, „dla nich mistrzostwa odbyły się o rok za wcześnie".

Drużyna nie mogła także odnosić sukcesów nie dysponując praktycznie w ogóle linią ataku. Włodzimierz Smolarek lata świetności ma już raczej poza sobą, a Zbigniew Boniek nie jest przecież klasycznym napastnikiem. Stąd właśnie jedyna bramka strzelona w czterech kolejnych meczach. Zawiodła także linia obrony, a Józef Młynarczyk w żadnym wypadku nie może tego turnieju zaliczyć do udanych.

Dochodzimy w tym miejscu do najważniejszej konkluzji; zarówno Mundial meksykański, jak i wszystkie poprzednie turnieje mistrzowskie, jeszcze raz wykazały niezbicie, że dopuszczają one możliwość niespodzianki, zaskakującej postawy którejś z teoretycznie słabszych drużyn, rewelacji przebijającej się z animuszem do medalowych potentatów, złota statuetka wędruje jednak wyłącznie wśród możnych. Sięgają po nią jedynie drużyny dysponujące świetną ligą, tysiącami profesjonalnych, w pełnym znaczeniu tego słowa, klubów, słowem kraje posiadające bogate zaplecze materialne i ludzkie.

Cudu więc w Meksyku nie było, bo być nie mogło. Największą odpowiedzialność za słabą postawę Polaków ponosi jednak obecny stan polskiej piłki nożnej. Mając ekstraklasę, w której szczytem marzeń jest bezbramkowy remis na wyjeździe, w której indolencja strzelecka wywołuje śmiechy na widowni, w której nawet potentaci nie dysponują autentycznym zapleczem juniorów, czy trampkarzy, w której boiska treningowe są pobożnym życzeniem i wreszcie, w której czołowi liderzy przegrywają, rok po roku, w sposób kompromitujący, każdą konfrontację z zagranicznymi zespołami klubowymi, Polska nie mogła i nie powinna marzyć o prawdziwym sukcesie w Mexico'86. Dobrze się więc stało, że cud z Hiszpanii się nie powtórzył. Może wreszcie ktoś weźmie się za uporządkowanie, tracącego błyskawicznie swą wysoką niegdyś pozycję, polskiego sportu.

Oprócz prawdy wspomnianej powyżej, meksykańskie mistrzostwa udowodniły jeszcze kilka innych podstawowych prawd: 1. Piłka nożna jest grą prostą, w której triumfy święci szybkość, fantazja i dobre zrozumienie między partnerami. Potwierdziły to jedenastki ZSRR i Danii — pomimo późniejszych niepowodzeń, ale to temat sam w sobie. Wszelkie nadawanie piłce nożnej znamion gry wojennej jest bezcelowym zagmatwaniem istoty tego sportu, tu trzeba umieć zdobywać bramki. Wszelkie kalkulacje na remis, systemy cattenacio, kurczowe trzymanie się własnej połowy boiska skazane są z góry na niepowodzenie. 2. Nie ma mistrzostw słabych, ani dobrych. Są tylko słabe, albo dobre mecze, a turniejowy charakter rozgrywek zmusza uczestniczące w nich drużyny do uważnego rozłożenia sił i wymaga nie tylko pełnego zaangażowania w każdy występ, ale i roztropności. 3. Co pewien czas pojawia się na mistrzostwach jakaś drużyna z tradycyjnie słabszych w tym sporcie regionów świata, przypominając, że choć powoli, to jednak rywalizacja piłkarska coraz bardziej się wyrównuje i zaostrza.

Kto zdobędzie tytuł mistrza świata, nadal jeszcze trudno przewidzieć, choć kandydatów do tego trofeum pozostało już niewielu. Z pewnością jednak nie będzie to żaden z piłkarskich kopciuszków. Takie są reguły tego sportu, w który angażują się nie tylko emocje milionów kibiców, ale także miliony szeleszczących papierków, najróżniejszych formatów i odcieni.

I ostatnia uwaga, już pozasportowa. Dla mnie te mistrzostwa pozostaną także w pamięci jako przykład niefachowości, braku szacunku dla siebie i odbiorcy, a także profesjonalnej nieuczciwości telewizyjnych sprawozdawców z tej imprezy. Mylenie nazwisk piłkarzy, narodowości drużyn występujących na murawie, przerażające błędy językowe — oto m.in. plon ich działania.

# Olek wraca?

*Synagoga — rozwrzeszczany tłum. Jedni przez drugich krzyczą, jak gdyby wciąż mieli pretensję do Pana Boga o to, że żyją. I cichy kościół, gdzie można zostać sam na sam z Bogiem i jego Synem. Moja natura zawsze sprzeciwiała się hałasowi. Pamiętam mały kościółek w Tatrach, gdzie byłem bardzo blisko Jezusa. W Ziemi Świętej wędrowałem śladami Męki Pańskiej i przez cztery lata wygnania każdego dnia byłem ukrzyżowany...*

*Na emigracji jest szansa uzyskania dystansu do siebie, do tych, których się zostawiło, do emocji i do goryczy. I ten dystans stał się możliwością dojścia do absolutnego przeświadczenia, że dalsze moje życie ma sens tylko z męką i bólem Pana Jezusa, tylko i wyłącznie wśród Polaków i w Polsce, na dobre i na złe, na radość i na płacz...*

Czyje to słowa? Aleksandra Rozenfelda, który przed czterema laty wyjechał z Lublina do Izraela. Po roku nadesłał do „Kameny" nostalgiczny wiersz, który zamieściliśmy.

Gdzie te słowa wypowiedział Aleksander Rozenfeld? W radiu Watykan, które tak go przedstawiło:

*Przed naszym mikrofonem gościmy pana Aleksandra Rozenfelda, lat 45, do roku 1982 obywatela polskiego narodowości żydowskiej, który w tymże roku z żoną Polką, katoliczką, i ośmiomiesięcznym Piotrem wyemigrował do Izraela, a obecnie pragnie powrócić do Polski. Państwo Rozenfeldowie zawarli ślub w kościele katolickim. Dzieci — obecnie już dwóch synów — zostały ochrzczone, starszy w Polsce, a młodszy, urodzony w Izraelu, w wodach Jordanu. Żona z dziećmi związana jest ze wspólnotą katolicką w Haifie. (...) Aleksander Rozenfeld jest poetą. Cztery tomy jego poezji ukazały się już w Polsce, piąty, ostatni po polsku, w Izraelu (...) Pan Aleksander Rozenfeld pragnie przed definitywnym powrotem do Polski przyjąć chrzest...*

Nie będzie zapewne pierwszym i ostatnim Żydem, który podjął tego rodzaju decyzję. Nie mam zamiaru wtrącać się w prywatne, intymne sprawy Olka, którego w Lublinie poznałem z różnej strony, toteż zapowiedź jego chrztu czy też powrotu do Polski zastanowić mnie nie mogą.

Niemniej pragnąłbym uściślić jego sformułowanie: „przez cztery lata wygnania", bowiem, jak dobrze wie sam Olek (pisał w wierszu: „oto sam zostałem wygnańcem...") nikt go z Polski nie wyganiał. Sam, tylko sam, podjął decyzję wyjazdu do Izraela, a ja na przykład należałem do tych, którzy mu ów wyjazd odradzali. I, jak widać, miałem rację...

M. A. Jaw.

# Krzyżówka nr 13 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment wspomnień pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

1. antyjezuicki nurt we francuskim katolicyzmie — 90. 8. 33. 13. 49. 61. 70. 97. 2.
2. produkuje prąd — 35. 86. 65. 22. 91. 99. 48. 84. 18.
3. woda z mąką i drożdżami — 29. 11. 59. 96. 38. 51. 126.
4. władza z wyboru — 14. 30. 100. 76. 82. 56.
5. z promem do Świnoujścia — 15. 27. 129. 44. 101.
6. śpiewany utwór — 36. 25. 122. 105. 79.
7. pracuje za biurkiem — 1. 7. 47. 72. 113. 119. 107. 43.
8. ćwiczenie — 17. 37. 104. 146. 34. 169. 135.
9. zupa mięsna — 4. 23. 93. 89. 45.
10. zbiór map — 3. 54. 152. 171. 165.
11. pospólstwo, tłum — 88. 19. 94. 133. 57. 46. 73.
12. pokrycie dachowe — 39. 123. 138. 141. 150. 161. 98.
13. narzędzie krojczego — 9. 117. 137. 60. 20. 111. 124. 103.
14. podziemne-przejście — 28. 134. 154. 140. 41.
15. kawaleryjski atak — 167. 147. 130. 64. 83. 78.
16. kura czy jajko? — 66. 21. 10. 143. 174. 166. 42. 71.
17. deklinacje i koniugacje — 6. 52. 145. 81. 16. 173. 55.
18. dźwięk towarzyszący czemuś, echo — 95. 132. 116. 5. 149. 31.
19. stado śledzi — 128. 112. 40. 74. 106. 127.
20. czterokołowy wózek z ckm — 144. 109. 172. 32. 53. 160. 156. 62.
21. czasomierz — 102. 168. 148. 142. 50.
22. na kaszę i pędzle — 77. 58. 159. 170. 136.
23. pomoc domowa — 75. 85. 67. 158. 87.
24. spartaczony towar — 24. 92. 68. 164. 108.
25. republika radziecka — 114. 125. 110. 121. 153.
26. lepsza niż dziura — 26. 118. 139. 120.
27. w nich konfitury — 80. 63. 157. 163. 162.
28. imię królów francuskich — 69. 115. 151. 12. 155. 131.

| | | | | | | | | | | | | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | ■ | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | ■ | 12 | 13 | 14 | 15 | 16 | 17 |
| 18 | 19 | ■ | 20 | 21 | ■ | 22 | 23 | 24 | 25 | 26 | ■ | 27 | 28 | 29 | 30 | 31 | 32 | 33 |
| 34 | 35 | ■ | 36 | 37 | 38 | 39 | 40 | 41 | 42 | 43 | 44 | 45 | ■ | 46 | 47 | 48 | 49 | 50 |
| 51 | ■ | 52 | 53 | 54 | 55 | ■ | 56 | 57 | 58 | 59 | 60 | 61 | 62 | 63 | ■ | 64 | 65 | 66 |
| 67 | 68 | 69 | 70 | 71 | 72 | ■ | 73 | 74 | 75 | 76 | 77 | 78 | 79 | 80 | 81 | 82 | ■ | 83 |
| 84 | 85 | ■ | 86 | 87 | ■ | 88 | 89 | 90 | ■ | 91 | 92 | 93 | 94 | ■ | 95 | ■ | 96 | 97 |
| 98 | 99 | 100 | 101 | 102 | 103 | 104 | 105 | 106 | 107 | ■ | 108 | 109 | 110 | ■ | 111 | 112 | ■ | 113 |
| 114 | 115 | 116 | 117 | ■ | 118 | ■ | 119 | 120 | 121 | 122 | 123 | ■ | 124 | 125 | 126 | 127 | 128 | ■ |
| 129 | 130 | 131 | ■ | 132 | 133 | 134 | 135 | 136 | ■ | 137 | 138 | ■ | 139 | 140 | 141 | 142 | 143 | ■ |
| 144 | 145 | 146 | ■ | 147 | 148 | 149 | 150 | ■ | 151 | 152 | 153 | ■ | 154 | 155 | 156 | 157 | 158 | 159 |
| ■ | 160 | 161 | 162 | ■ | 163 | 164 | 165 | 166 | ■ | 167 | 168 | 169 | 170 | 171 | 172 | 173 | 174 | ■ |

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

**ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO**

Agenea nie morduje tych, którzy mają odmienną [illegible]. To świadczy, że jest mędrcem i wie, iż cechą [illegible] i jest to, że nie może być urzeczywistniona. Ale [illegible]wet gdy cel jest osiągalny, droga do niego wiodąca nie może być jego zaprzeczeniem.

**Karol Bunsch**
**ALEKSANDER**

Nagrodę wylosowała Lucyna Kowalczyk, ul. Górska 5 m. 51, 20-261 Lublin.